

TYGODNIK ILLUSTROWANY



JADWIGA ŁUSCZEWSKA (DEOTYMA)
Ze zbiorów p. Antoniny z Komierowskich Sadowskiej

WEDŁUG PORTRETU J. SIMMLERA

W TRAGICZNEJ GODZINIE

„DUMA O HETMANIE“ STEFANA ŻEROMSKIEGO.

II.

„Widziadła snu“ hetmańskiego, które tłumnie nabiegać poczęły, gdy „od dziesiątka dni bezsenna, spracowana głowa na wezglowie upadła“—stanowią główny, twórczy cel poematu. Wyteżone skupienie, żelazna zawartość i dośrodkowość stylu, oraz budowy w prologu i epilogu ustępuje tu miejsca całkowitej rozbieżności. Wraca dawny Żeromski, w którym toczy się wciąż tajemna, a szalona walka pomiędzy nieskończonością uczucia, nabrzmiałego bólami pokolenia, a skończonością języka, skazanego na ujęcie tych bezmiarów bez ograniczenia ich mocy. Myśl dzisiejsza wchłania duszę polskiej przeszłości i kształtuje ją w potężne obrazy, które już to odtwarzają w pięknej, symbolicznej wizji prawdę dziejową, już to łączą anachronizm faktu z anachronizmem barwy, rozumowania i uczucia. Hetman staje przed oczyma poety, jako posąg najpiękniejszego bohaterstwa przeszłości, to znów rośnie na ideał marzeń dzisiejszych.

Raz jest przenikliwym historyzofem i mężem stanu, to znów pokutnym synem Ojczyzny, pragnącym ją zbawić poświęceniem, nie znającym dna, ni kresu. Raz jest jednym z największych w Polsce samotników, który napróżno usiłuje skuć stalową obręczą swej woli wszystkie złe moce rozstroju; to znów jest miękkim, rozserdecznym szlachcicem, który płacze nad tem, iż złamał zasadę złotej wolności i dopomógł do złamania swawoli największego w Rzeczypospolitej warchoła, zdrajcy i banity. Roi wielki, gigantyczny sen o potędze Ojczyzny, a potem traci już wiarę w swój rozpaczny heroizm i w potępieńczej boleści widzi proroczo tragedję upadku...

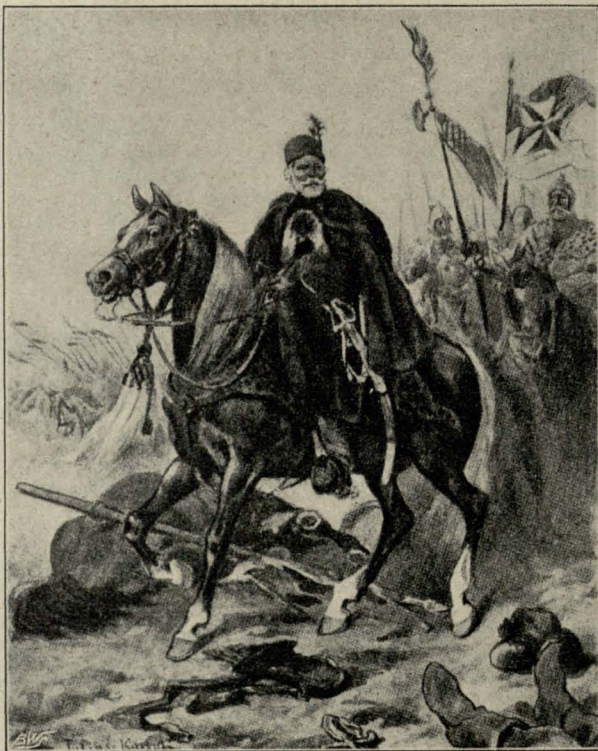
A Żeromski, niesłychany tyran dusz, odkrywa w tych rojeniach wszystkie rany najboleśniejsze, wywołuje z ciemni dziejowej dantejskie cienie poniewieranych i wydziedziczonych, oskarża i protestuje, kładzie własny ból tam, gdzie już była tylko tępa nieświadomość, zawodzi skargę i ciska pioruny, opowiada z dławieniem szалу w gardle, a potem marzy, marzy o czynie wszystkimi tonami duszy, aż zapomina o budowie poematu i o tem, że tworzy dzieło literackie.

* * *

„Widziadła snu“ rozpadają się na szeregi jasełkowych obrazów, połączonych w uczuciu Żółkiewskiego, a jeszcze więcej—Żeromskiego. Są to drobne poematy nierównej wartości, które odtworzyć mają plastycznie żywot Hetmana i najtajniejsze jego myśli bohaterkie. Wyobraźnia poety zmienia wciąż ton i barwę.

Przygląda się oto najpierw z hetmanem cudnemu krajobrazowi, tonie w morzu panteistycznym i zwiisa nad wszechświatem pytaniem: któż jest człowiek? Ta dzisiejsza troska filozoficzna, przeniesiona w wiek sie-

demnasty, rozpyła się w duszy Żeromskiego w szereg zagadnień, jakim powinien być *czynn* ludzki. Powstała stąd najwznioślejsza karta w księdze, karta, zakończona pełną melancholji apostrofą: „Dajcie odpowiedź, o wielobarwne skrzydła motyle, co się, jak dłonie kapłańskie, za nas rozwieracie i składacie nabożnie przed słonecznym promieniem! Dajcie odpowiedź, kwiaty, które barwy czerpicie z łona chmurek porannych, a z nędznych w gnoju korzeni ziemskich wydzieracie się ku śniadym i rumianym obłokom, a nad obłoki górujecie czarodziejstwem zapachu! Dajcie odpowiedź, ty wodo, wydająca przez wieki wieków dźwięk swój, zawsze jednako tajemny... Dajcie odpowiedź, wędrowne chmury



Stanisław Żółkiewski, hetman w. k.

Rys. J. Kossaka

niebieskie, które co dnia oglądacie wszystko z wysoka, co jest na lądzie i na morzu“...

Mieni się dalej kalejdoskop widziadłowy. Myśl hetmańska biegnie ku odkopaniu w dziewiętnastym wieku Forum Romanum i nasiąka zadumą poety z niedawnej może jego podróży po Włoszech. Wszak to tylko — marzenie... I patrzy Hetman, jak „w słońcu tam leży sen o geniuszu, o gwałcie żądz, o potędze miecza i o bezdennej nędzy człowieka“. Przechadza się bohater wśród ruin, jego „nabożnie przyczajona stopa“ mija łuki i strzaskane kolumny, jego oczy chłoną tęskny czar, uśpiony między symbolami potęgi i dumy, „z których deszcz wypłakał sławę i które wyśmiał, wyświstał wiatr, lecący przez wieczność czasu“. Hetman, cały już w Żeromskiego przeniesiony, woła starem Rzymowi: „Potęgo, która tyranii i bezprawiu pomnik zbudowałaś, nie przeczuwając, że budujesz nieśmiertelny sylogizm, doskonałego piękna i wymowy pełen, o nicości człowieczej tyranii i o omyślności bezprawia!“

Po chwili—obraz inny. Żeromski idzie za Hetmanem na Forum polskie, na Rynek krakowski, i oczy patrzą z czułością w „dawne, minione przeżycie“. Lśniące oto gody wyprawa nowożeńców, Jan Zamoyski, z Gryzeldą, królewską synowicą. Płonący to barwą obraz przepychu, turniejowych zapasów i symbolicznych pochodów, w których młody Żółkiewski uczestniczył, odziany w strój bogini Diany. „Niezgłębiona i niewymowna tajnia głuchych głosów młodości, która w tamtej chwili pamiętnej serce przejęła, rola bóstwa pięknego, wówczas zagrana, jeszcze raz z całą mocą ozwała się w tym czarującym śnie“. I już w tej rycerskiej młodości wpatruje się Żółkiewski, poprzez wspomnienia sennie, w duszę polskiego ludu, zebranego tam na Rynku, ludu, w którym tylko — „głucha, pierzchająca na wsze strony siła“, w którym tylko — „zuchwała dzikość, jak w morzu, w lesie tatrzańskim i w szczerem polu“.

I znowu mieni się dalej kalejdoskop widziadłowy. Staje przed oczyma senniej duszy hetmana arcytyp swawoli jednostki, najzuchwalszy kondotier włoski, Coleoni. Niedgdyś marzył Żółkiewski u ostróg jego, przy pomniku weneckim, „o sztychu mocy i o żelaznym zamachu wielkości“. Teraz, we śnie prowadzi Hetman symboliczny dyalog z italskim rycerzem. „Była to — mówi — moja własność jedyna — szczęście polskie zasłaniać, wolność naszą nieść daleko, a znak zdrowia Ojczyzny, buławę wojenną pokazywać ku czci obcym plemieniom. Byłem z sejmu polskiego, ze stolicy sprawiedliwości i wolności, od ludzi nieprzymuszonych posłaniec do ludów, które topór żelaznej pychy rąbał!“ A Coleoni odpowiada: „Pewny na świecie i trwały jest tylko miecza stalowego, na brzusie ostrzonego cios. Trzeba ci było dyktować graczom politycznym uniwersał twojej potęgi, tekst aktu twojej chwały“.

Na uwagę Żółkiewskiego, że hetman polski jest sługą narodu, Coleoni ciska szatańskie słowa: „Na tarczy wolnego rycerza wymalowałeś symbol czyjejs, nie własnej potęgi i tem się chełpisz, niewolniku!... Ojczyzna—zespół szaleńczy wzajemnego wszystkich pochlebstwa“.

Piętrzą się wnet przed wyobraźnią hetmańską ponure widma warcholstwa polskiego, które straszliwą, niemożliwą do rozwiązania zagadką stanęło na drodze jego życia. A potem serce hetmańskie szuka Ojczyzny dalej, głębiej, poza światem rozpasanej szlachty, i głosi Coleoni'emu za Żeromskim z „Ludzi bezdomnych“ zbożną „cześć dla cichych, a wielkich w Polsce dusz“, która „za wszystko na szerokości ziemskiej starczy“.

Zapewnia, że w nich to mieszka Ojczyzna i już zgoła łączy się czuciem z pokoleniem dzisiejszem, gdy oznajmia uroczyście, iż „bywa tu w Polsce zamurowana dożgonna wierność dla przegranej sprawy, nieznaną nigdzie na świata obszarze, uniesienie prawego serca, które jedynie w wielkim

czynnie widać, nie splamiony honor, sam siebie—niczem, głodem—ducha karmiący w podziemnych lochach nędzy bytu”.

Gdy ta myśl o „cichych w Polsce duszach” rozszlochała się w Żeromskim, przywdziewa natychmiast dalszy swój kształt zbuntowanej troski o wydziedziczonych i sponiewieranym. Więc poeta nęka śpiącego hetmana „zwołaniami” krwawych mar różnych ofiar szlacheckiego okrucieństwa i bezprawia. Ciury obozowe wyją hetmanowi swe życiorysy jasno-czerwonemi słowy: ten opowiada, jak mu ojca wbili na pal za to, że panu, wstawszy z pod batów, w ślepią plunął; tamten, jak, zwerbowany w żołnierze, wciąż ścinał jednych, a mordował powoli drugich, ale nie wie, o co się bił i przeciw komu, chyba, żeby „jegomość jego rotę więcej mógł złupić i zedrzeć”; a tamten jeszcze spowiada się, jak długo wielbił „wszelką chuć swego pana”, jak „oblaża go podłość udawania” i jak teraz pchnie swego pana nożem w struchlałe serce...

I znowu inne widziadło: Hetman w nocy biegnie na Wawel, staje przed królem, prosi go o sąd i rozkaz, roztrząsa wielkie zamysły Batorego i ten największy, aby przez Moskwę iść na czele Polaków w Carogrodu bramy, mówi „powieść o dobrej sławie własnej”, to jest kreśli obrazy różnych, bohaterskich kampanii, a zwłaszcza moskiewskiej — przenosi całą mądrość historyków dzisiejszych do tej komnaty królewskiej.

Przyszedł moment, gdy trzeba było spłoszyć widmo Samuela Zborowskiego. I oto wchodzi przez tajne małe drzwi w głębokim murze ścięty banita, niedoszły Coleoni polski, ten co szukał „prawa swej duszy między wolnymi kozaki”. Prowadzi butny dyskurs z królem i hetmanem, głosi hymn na cześć warcholstwa polskiego, zlorzeczy królowi za targnięcie się na złotą wolność i woła symbolicznie: „Jam jest wieczny w Ojczyźnie! Każdą polską sprawę—swoją czynię sprawą. W każdej radzie zasięde i, jeśli przeciw mojej woli toczyć się zechce, splączę ją, zmieszam, zniweczę, w kłótnię jednostek, w war ambycyi, we wściekłą zwadę zamienię... Jam jest jako wszystka Polska olbrzymi”.

Niemniej symbolicznie brzmi opowieść Samuela o jego pokutnej, ostatniej przed kaźnią nocy, która urasta w poemacie na parabolę przyszłego upadku Polski. Tym jej nastrojem wytłómaczyć można do pewnego stopnia niezrozumiałe cokolwiek zakończenie dialogu: hetman po spowiedzi Samuela „runął na ziemię, wyciągnął dłonie z jękiem i nogi straszego widma objął, szlochając.”

Najdłużej nawiedzają uspięnego hetmana widziadła wyprawy moskiewskiej, a zwłaszcza tego momentu, gdy spełniła się już wielka myśl Batorego, „żeby król polski siadł na tronie Ruryka.”

To jest właściwie kulminacyjny punkt w konstrukcyi poematu, i tak go niewątpli-



Husarya w pochodzie. Fragment z kartonu W. Pawliszaka.

wie pojmował Żeromski. Nie mógł jednak poeta zdecydować się na formę opowieści. Wyteżona mowa poprzednich widziadeł wydała mu się za mało uroczystą na syntetyczny obraz tej wielkiej, przełomowej chwili w dziejach Polski. Spróbował eposu i—powiedzmy otwarcie—mniej szczęśliwie. Książkę Mścisławski, podejmujący hetmana w Moskwie, maluje duszę Rosyi białym wierszem „bylin” rosyjskich, hetman zaś odpowiada prozą. Płaczą się plany, słabnie siła poetyckiego rozpędu Żeromskiego. Dopiero

w zakończeniu wraca moc dawna. Gdy Mścisławski każe hetmanowi „zaprzysiądz prawdę o Polsce, z serca wyjętą”, wezbrane wszystkimi bólami przeszłości, proroczą troską o przyszłość drżące piersi hetmańskie wołają: „Są ludzie nowotnej Polski o duszy niebiańskiej, motyle cudnoskrzydłe rodu człowieczego, kwiaty cudowne w rubasznym pustkowiu. Przez trud tych dusz w Polsce samotnych przysięgam, iż wydzwignię się anioł jej wewnętrzną mocą swoją z cielesnej poczwary!...”

...A potem jeszcze wizya prorocza, dalsza, niezbyt daleka karta historyi po wyprawie moskiewskiej, obraz, malowany krwią naszych już pokoleń: „Posępne widziadła kolumn człowieczych, legie, sapieżyńskim tropem w północ pędzone. Golone w pół głowy ich szmata skrwawiona okrywa. U rąk, u nóg dzwoni żelazo. Krucy nad nimi kraczą czarni, i chytre wrony kołują stadem.” Uspionemu hetmanowi serce umiera z żalu. „Prawica główni miecza dopadła. Senny krzyk, *nie pozwalam!*—który zmora garścią dusi, szarpie się z piersi w ostatnim tchu...”

* * *

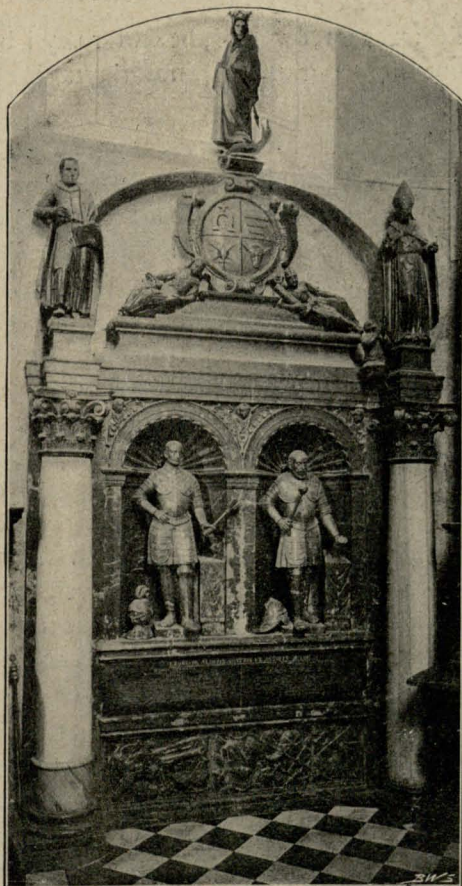
Skończone widziadła. Książka z rąk wypada, i pytamy, czy to utwór literacki, czy to pobudka jakaś rozpaczna, a ostrze tej myśli sprawia nam ból nieznośny. Omroczone żalem mózg ucieka od zagadnień estetycznych i wpatruje się trwożnie w otchłanie duszy polskiej, do których go zawiódł piewca „Walgerza Udałego”, gdy w tragicznej godzinie zadumy marzył o tem, co było, i—o tem, co być mogło, i—o tem, co jest dziś...

JAN LORENTOWICZ.

JESIEŃ.

Znowu się do mnie uśmiechnęłaś, smutna,
I znowu z duszą moją bierzesz ślub...
Strojna w mgły białe, jak w całunów płótna,
Padłaś do moich umęczonych stóp.
Wszystko wróżyło dzisiaj twoje przyjście—
Szelest uwiędłych przez noc jedną traw,
Ze szklanym płaczem spadające liście,
W rdzawym rumieńcu skamieniały staw.
Jak cichy wieczór... Na leśnych polanach
Dogasa słońce czerwone, jak krew...
Głowę złożyłaś na moich kolanach.
Słuchamy szumu rozmodlonych drzew.
Jakieś się wielkie słowa w duszy ważą
Lecz nigdy ścichłych nie opuszczają warg—
Zda się, że słyhać, jak pod nocy strażą
Rodzą się gwiazdy i przekwita park...
Patrzysz mi w oczy—w włosów moich srebrze
Błądzą lilije białe twoich rąk.
Twoje spojrzenie łka i o coś żebrze—
Łakniesz łez nowych i nowych chcesz mąk.
A potem cicho odchodzisz w dal ciemną...
Noc już?... do stóp mych liść uwiędły spadł...
Przecieram oczy... przebóg! Ktoś był ze mną,
Ktoś na me włosy dobre dłonie kładł...
Sen to, czy jawa?... Słowa w ciszy głuchną,
I tylko dziwnie szumi w mrokach park...
Jeszcze mi świeci czyichś oczu próchno,
I jeszcze czuję całus zimnych warg...

HENRYK ZBIERZCHOWSKI.



Pomnik Stanisława i Jana Żółtkiewskich w kolegiacie w Żółtkwi.

MUZEUM SOBIESKIEGO.

W 225-tą rocznicę odsieczy wiedeńskiej otworzono we Lwowie Muzeum narodowe imienia Sobieskiego.

Mieści się ono w historycznej siedzibie Jana III-go, której podobiznę podał przed niedawnym *Tygodnik Ilustrowany* z racy nabycia jej na własność miasta.

Uroczystość zagał pełnym poletu przemówieniem wiceprezydent, dr Tadeusz Rutowski, zaznaczając przedewszystkiem znaczenie dawnego Lwowa. „Stary gród trwał zawsze z wiernością przy królu i Rzeczypospolitej i dlatego stał się arsenałem i twierdzą Polski. Dziś, w chwili odrodzenia, wznosi on świątynie, przypominające majestat państwa, a gromadzące zarazem dawne pomniki, podwaliny życia narodowego“.

Nowe Muzeum powstało niemal błyskawicznie. Zastugą to zaś bezprzeczną właśnie Tadeusza Rutowskiego, który z zadziwiającą energią i rzutkością w ciągu lat dwu skutecznie założył Galeryę miejską, a obecnie i przybytku muzealnego. Przytrudne zadanie to ułatwił mu w wielkiej mierze historyk, archiwaryusz miejski, dr Aleksander Czołowski, niestrudzony zbieracz i kustosz zabytków Lwowa i rzeczy, z nim związanych. Niemniej podnieść tu należy iście wielkopańską ofiarność kilku jednostek, oraz gminy, tak hojnej ostatnimi czasy na cele kulturalne.

W odświeżonym z grubsza sędziwym gmachu, który obejmie później bogatą zbrojownię miejską, ciekawe lapidarium i archiwum, umieszczono

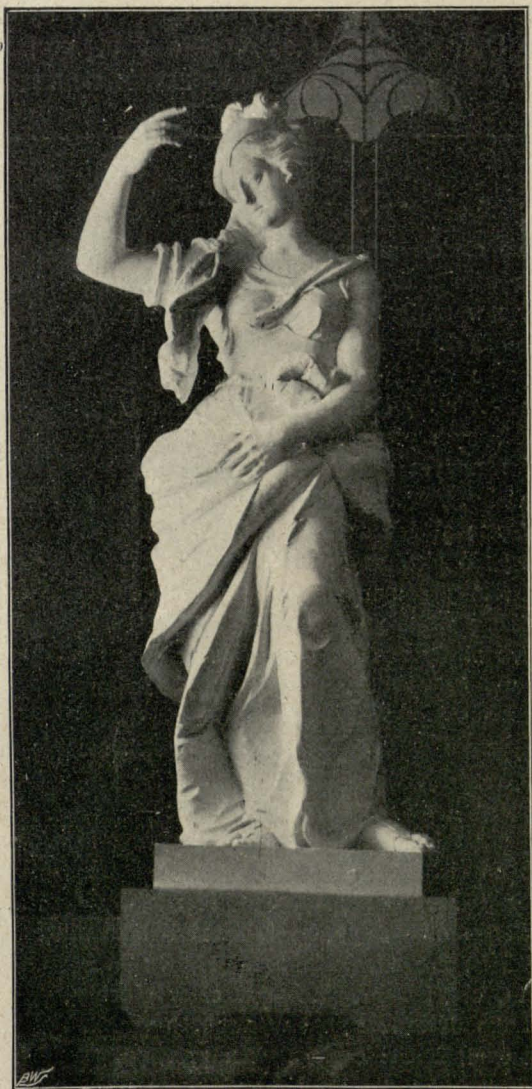
teraz: portrety historyczne od XVI do XIX wieku (depozyty kapituły i oo. Jezuitów); ryciny, poświęcone pamięci Sobieskiego, medale, druki, autografy królewskie, obrazy (9 konterfektów króla, 1 Marysieńki), figury z zamku żółkiewskiego; dalej zbiór sztychów polskich i do Polski odnoszących się (depozyt Włodzimierza Kozłowskiego); wreszcie obfitą kolekcję pamiątek miasta, więc malowidła, rysunki, plany, zabytki cechowe, godła gospodnie, obesłania, sztandary, pieczęcie i t. p. Pozostają do ustawienia wszelakie sprzęty, porcelana, szkło i drobiazgi różne, patyną wieków okryte, ku którym zbliża się już z miłością zabiegliwy kronikarz Lwowa, Franciszek Jaworski.

Przybywają też ciągle cenne dary, a w ich liczbie znalazły się arcyciekawe statuy z zamku Sobieskich w Żółkwi, odrestaurowane właśnie bardzo umiejętnie przez p. Jana Pasternaka. Są to zabytki z XVIII stulecia, udatna rzeźba w drzewie, niewiadomego pochodzenia. Ocalenie ich, o ile nam wiadomo, zawdzięczać należy radcy dworu, Julianowi Szumlańskiemu, który piastując urząd starościński w Żółkwi, stał się jej prawdziwie opiekuńczym duchem. Stara siedziba Żółkiewskich, Daniłowiczów i Sobieskich ożywi się też za dni parę przy uroczystem pochowaniu odnalezionych szczątków zwycięzcy z pod Kłuszyna, ku czemu dał inicjatywę i wpływowej pomocy swej nie poskąpił radca Szumlański, wsparty przez grono konserwatorów, obywatelstwo miejskie i okoliczne.

T. C.



Statua z zamku Sobieskich w Żółkwi.



Statua z zamku Sobieskich w Żółkwi.

BOLESŁAW PRUS:

DZIECI POWIEŚĆ.

40)

Tymczasem ów ktoś, bezkolorowy i bezkształtny, mówił głosem jednostajnym i nudnym:

„Jeżeli pani Linowska nie może rachować na swoich parobków, z którymi żyła się od kilku lat, jakim sposobem twoi oficerowie będą mogli ufać nieznanym sobie żołnierzom?... Jeżeli służba ukrywa przed Linowską odwiedziny i namowy agitatorów, kto cię zapewni, że nasi żołnierze nie zechcą ukrywać w obozie zdrajców i obcych szpiegów?... Jeżeli robotnicy fabryczni zabijają uczciwych urzędników, kto zaręczy, że wasi żołnierze nie będą zabijali swoich oficerów?... co wtedy stanie się z wojskiem, które zamierzasz stworzyć: czy potrafi ono wygrywać bitwy i czy nie zamieni się w armię bandytów, którzy będą ograbiać i palić dwory, kraść drzewa z lasu i zabierać trzyrubłówki biedakom gajowym?...”

„A w takim razie ty, który chcesz sformować podobną armię, czy nie narażasz się na przekleństwa całego narodu i wieczną hańbę?... Bo zaprawdę, jeszcze nie było człowieka, który zebrałby, uzbroił i wymusztrował gromadę zbójów, ażeby wypuścić ich na własną ojczyznę!...”

— Ja przecież nie chciałem zbójów!...

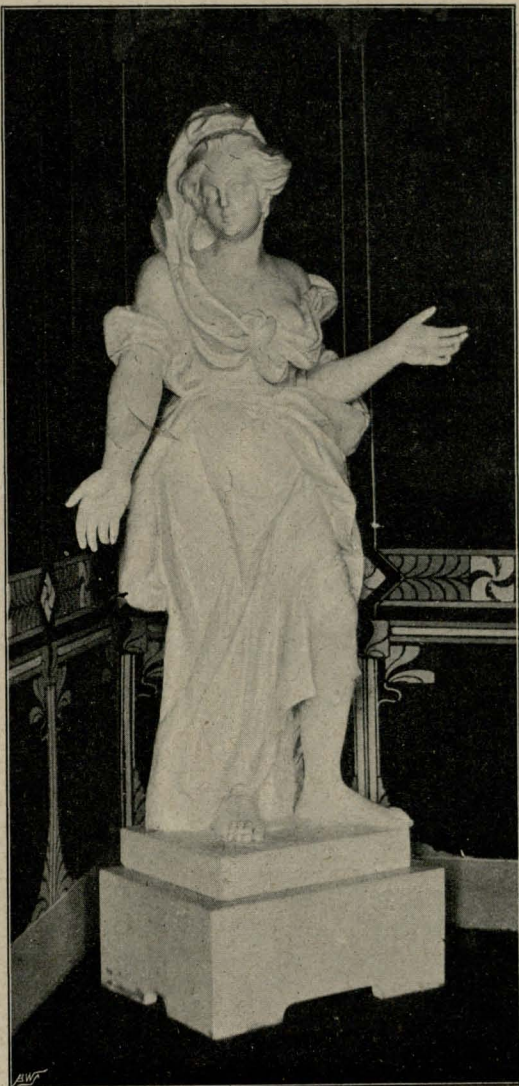
jęknął Świrski.—Ja formowałem zastęp Rycerzy Wolności, którzy dla kraju wywalczyliby swobodę i okryli go chwałą nieśmiertelną!... Chciałem stworzyć bohaterów, wobec których zbladłoby męstwo japońskie...

„Nie daje się byle komu oręza do rąk... Nie uczy się tajemnic sztuki wojennej ludzi, którzy jutro mogą posłużyć się nią do własnych celów: do zdobycia zarobku, posłuszeństwa, albo do nasycenia zemsty“...

Świrski zerwał się z pościeli. W pokoju nie było nikogo; za to w duszy młodego chłopca spełnił się wielki przewrót. Świrski czuł, że od tej chwili już nie potrafi marzyć o wojsku i że cała jego dotychczasowa działalność, niby polityczna, stanie się dla niego źródłem okrutnych wyrzutów sumienia...

— Co ja zrobiłem?... co ja zrobiłem!... — szeptał z rozpaczą.—Brydziński i Jędrzejczak marnie zginęli... Starka, Chrzanowski i Lisowski tułają się pod grozą więzienia, może i stryczka... Linowski ciężko zachorował... A cóż mówić o tych rzemieślnikach, którzy razem ze mną byli w Słomiankach, a dziś może już są bandytami?... Przekleństwo na de mną...

Nie myślał: co się z nim samym sta-



Statua z zamku Sobieskich w Żółkwi.

nie? jaka oczekuje go przyszłość?... Czuł tylko dokoła siebie ciemność, a w sobie brak wszelkiej nadziei i poczynął zazdrościć Władkowi, że tak łatwo doszedł do nowych poglądów i zamiarów.

— Naturalnie, że on będzie się uczył, a ja?...

Szczyściem, zmęczony, zasnął na parę godzin, i to go uspokoiło.

Nad wieczorem przyjechał pan Klemens. Krótko przywitał się z Linowską i panną Jadwigą, a Świrskiego prosił o chwilę rozmowy przed herbatą. Usiedli w kancelaryi, z obu stron czarnego biurka. Przybyszowi jakoś trudno było zacząć; Świrski machinalnie przypatrywał mu się i, myśląc o czym innym, w przerwach zauważył, że jednak pan Klemens jest przystojny. Ma wprawdzie łysinę, ale niewielką, a obok tego regularne rysy, zgrabne wąsiki i niebieskie, chłodne oczy.

„Ożeni się z Jadwigą!“...—rzekł sobie Świrski i poczuł tępy ból serca.

— W Świerkach strajk... — zaczął znizonym głosem pan Klemens.

— Doprawdy?... — odpowiedział Kazimierz tonem tak obojętnym, że jego współrozmówca zdziwił się.

— Strajk bardzo ostry — ciągnął pan Klemens. — Parobcy nie młócą, nie karmią i nie poją bydła... Spalono dwie sterty pszenicy...

— Aj!... — syknął Kazimierz.—Pojadę tam...

— Nie śmiałyby... to jest... nie żyć tam jechać... W każdym folwarku są kozacy i strażnicy...

— A oni co tam robią?...
— Karmią bydło... pilnują...
— Przecież oni są po to, ażeby mnie aresztować?...—rzekł głosem cokolwiek podniesionym.

— Nie. Ich wezwał pan Świrski...

— Mój stryj?... Dlaczego?...

— Pan Świrski postanowił, co nawet robi przykre wrażenie na sąsiadach, iż swojej służbie da warunki lepsze, aniżeli żądają, ale... pierwej musi przekonać ich, że on jest panem, a oni muszą go słuchać... A ponieważ zagrożono mu śmiercią, więc...

— Sprowadził strażników i kozaków?... —wtrącił Kazimierz.—Wolałbym, ażeby spór załatwił się w inny sposób...

— Ma pan słuszość — rzekł gość.— Ci kozacy—nie są potrzebni. Ja jutro będę w Świerkach, bo tam jest do sprzedania kocię!... Gdyby pan miał interes...

Kazimierz zerwał się z krzeselka.

— Może pan będzie tak dobrym i weźmie list?...—zapytał,

— Z największą chęcią.

Pan Klemens odszedł do Linowskiej, a Świrski napisał do stryja:

„Kochany stryju! Przedewszystkiem ośmielam się błagać, ażeby stryj oświadczył służbie o swoich względem niej zamiarach, które są praktyczne i, jak zawsze, szlachetne, a następnie, ażeby kochany stryj pozbył się kozaków, przez których nawet nie mogę wpaść do Świerków, choć bardzo pragnąłbym tego. Druga prośba: najukochańszy!... proszę o pieniądze... Ale o dużo pieniędzy, o kilka tysięcy rubli... Zdaje się bowiem, iż będę musiał na pewien czas wyjechać z kraju, i to nie sam!... Całuję ręce kochanego stryja i polecam się jego łaskom.

Kazio“.

Gdy w czasie kolacji Świrski oddał list, pnn Klemens, namyśliwszy się, rzekł:

— Jutro będę w Świerkach... jeżeli i mnie kto nie zabije, jak pocziwego sekretarza... A pojutrze spodziewam się doręczyć panu odpowiedź...

— Bardzo jej potrzebuję... Niech pan powie to stryjowi...

Tę noc i dzień następny Świrski przepędził prawie w gorączce. Był pewien, że stryj przyśle ze trzy... cztery... tysiące rubli, które umożliwią mu wykonanie całkiem już nowych zamiarów.

Postanowił porozumieć się z oddziałem Zająca czy Zajączkowskiego, gdyż był prawie pewien, że tam znajdują się koledzy-tulące, i jeszcze postanowił wezwać wszystkich, ażeby na pewien czas opuścili kraj, na co on dostarczy pieniędzy. Kto wyjedzie, tego Świrski będzie wspierał do czasu znalezienia pracy; kto nie chce—sám sobie winę przypisze... Po wykonaniu czego i Kazimierz miał przenieść się do Galicyi, a może i gdzieś dalej zagranicę.

— Wolę mój majątek obrócić na stypendya dla studentów i rzemieślników, aniżeli na tworzenie oddziałów niby wojskowych, które tylko nieszczęście przynoszą narodowi...—mówił do siebie.

Po tej uwadze — odetchnął. W ciągu



Statua z zamku Sobieskich w Żółkwi.

doby przyjedzie pan Klemens, przywiezie od stryja pieniądze, a przynajmniej wskaże Świrskiemu: dokąd ma zgłosić się po nie?... W ciągu kilku dni dowie się o partyi Zająca czy Zajączkowskiego i porozumie się z kolegami. A za tydzień... za tydzień będzie zupełnie szczęśliwy!... Opuści fałszywą drogę, na którą wszedł nie wiadomo jakim sposobem, i sprowadzi z niej kolegów, których tam wciągnął...

Nagle odezwał się w nim protest.

— „Czy naprawdę ja ich wciągnąłem?... —pomyślał.—Nie jestem przecież starszy od nich i nie mogę powiedzieć, ażeby zawsze mnie słuchali... Umieeli oni, kochankowie, opowiadać i jak jeszcze!... A taki Starka, ile on nawygadywał mi impertynencji?... A Chrzanowski i Lisowski, wprawdzie życzliwiej traktowali mnie, niż Starka, ale bynajmniej nie pozwoliliby się wodzić za nos“...

Pod wpływem tych medytacji uspokajał się z godziny na godzinę. Jego ulubione marzenia, aby stworzyć armię i na jej czele odnosić jakieś niebywałe zwycięstwa, bladły, rozprasały się. Natomiast coraz żywiej zajmowały go plany odnalezienia kolegów i wysłania ich z kraju. Wyobrażał sobie, jak ich będzie szukać po lasach, w jaki sposób będzie ich przekonywał i jak pod wpływem jego wymowy nawet sam Zajączkowski odzreknie się swego rzemiosła!

Tymczasem w terminie oznaczonym pan Klemens — nie przyjechał do Leśniczówki, a w sercu Kazimierza drgnął niepokój. Może pan Klemens nie był w Świerkach?... może zgubił list?... a może napadli go bandyci i zabrali pieniądze?... A może stryj?... (DCN)



ZAKOPANE. GUBALÓWKA

Z Salonu T. Z. S. P.

A. NEUMAN

OR-OT: KRAJOBRAZ POLSKI.

Gdziekolwiek pójdziesz, gdziekolwiek się zwrócisz, o Polaku, od rodzinnego gniazda odbity, wszędzie pójdą za tobą obrazy ziemi dalekiej, ziemi, prochami ojców usianej, tem świętszej i sercu droższej, że tak biednej i nieszczęśliwej.

Nad szafirami obcych mórz, w gaju pomarańcz i laurów, na szczytach najcudniejszych gór świata, tęsknić do niej będziesz i za oczyma, żalu pełnemi, wyrwać się pocznie dusza twoja, spragniona widoku tych ukochanych miejsc, kędyś dzieciństwo „sielskie, anielskie” i młodość „górną a chmurną” przepędził. Bo mogą być kraje bogatsze i możniejsze, bo są jaskrawsze od promieni słońca, od kwiatów i drzew zamorskich wonniejsze i dziwniejsze, ale tak blizkiej sercu, tak umiłowanej i swojej, choćbyś świat cały zwędrował — nie znajdziesz. Dusza polska, melancholii pełna, przyłgnęła na wieki do tych wydm piaszczystych z samotnemi sosnami, czuwającemi na straży, do miedz polnych z rozłożystą gruszą, do szerokich jesiennych ściernisk, na które o perłowym zmroku tajemnicza schodzi zaduma, do rozstajnych dróg z Bo-

żą Męką, na której koraliki ubogie, równianki kwiatów łąkowych i papierowe, barwne wstęgi wiszą, do borów, w głąsę zapadłych, do strumieni, wijących się srebrzyście, do modrej tafli rzek i do stawów, pleśnią zieloną pokrytych i szuwarem zarosłych.

Od niebotycznych Tatr, jak wyniosłe, gigantyczne fale skamieniałego morza, pnących się w niebo, od cudnej doliny Prądnika, gdzic, jak w baśni, stąpasz, zdumionemi od czarów rozglądając się oczyma, do

puszcz Białowieży, kędy złomy olbrzymich królewskich dębów od wieków leżą w ostępach, wiadomych jeno żubrom i jeleniom, do wybrzeży Bałtyku, szumiącego pieśnią lat dawnych, na całej ziemi tej ogromnej nie masz zakątka, którego by nie opiewali poeci twoi, nie masz miejsca, gdzie nie lałaby się ofiarna krew i gdziebyś nie czuł, że to puścizna twoja, dziedzictwo święte, tak drogie tobie, jak ojcom twym i dziadom, a może droższe jeszcze, bo tyła też oblane.

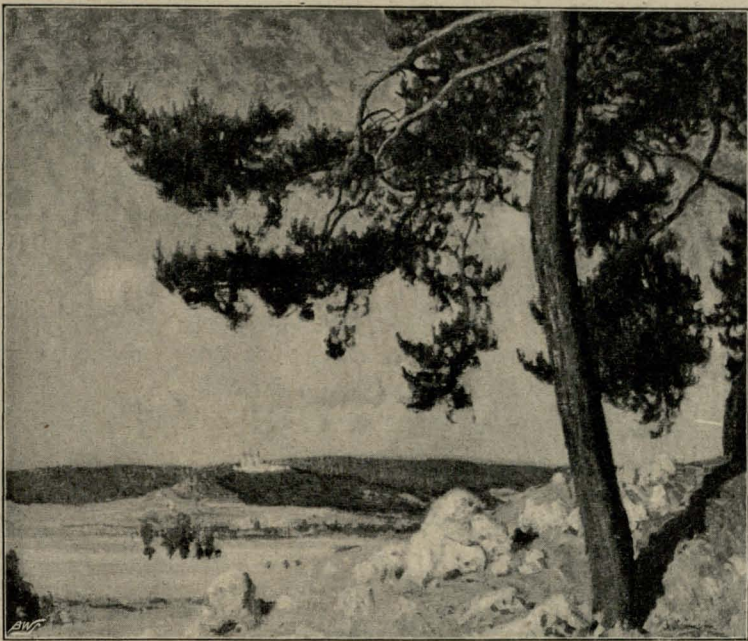
Na wsi polskiej wszystko do ciebie gada rodzimą, zrozumiałą mową, od wschodu do zachodu słońca, od zmierzchu do zarania patrzysz, a napatrzeć się nie możesz. I z każdym rokiem minionym czujesz, jako ta ziemia miłszą ci i bliższą, jako się z nią splatasz niewidzialnemi, a mocnemi, jak śmierć, węzłami, jak ty i ona tworzycie jedną nierozdzieloną całość!

Na przedwiośniu szare niebo zwisa ciężko nad ziemią, śnieg stają napół, roztopy ołowiane smęca wzrok, a bezlistne drzewa kołyszą się na wicherze. Aliści wyjrzało słońce i odmienił się świat: czuć życie, czuć, że idzie



WIOSNA

A. NEUMAN



SAMOTNA SOSNA

A. NEUMAN

ogarnia świat twój od krańca do krańca, a całą tęsknotę tych wszystkich, co cierpieli i cierpią w oddali, zamyka Adam w pieśni, która jest, jako nasz chleb żywota i jako napój, ustom pragnącym podany.

Ptaki co roku zlatują na swoje gniazda; z za mór, z za gór odnajdą drogę do pieleszy dawnych; nie powstrzyma ich śnieg i chłód, nie powstrzyma wiatr zimny; gdy ukochały raz—nie zapomną miłości tej już nigdy.

Tęsknota, która je pcha żywiołowo, jakże podobną jest do uczuć, wypełniających serce wygnańca. Przez ból, przez łzy, przez mękę istnienia i on chce powrócić—powrócić!

Powróćmy wszyscy na ojczyzny łono! Wczujmy się duszą w to, co jest duszą ziemi naszej i duszą narodu; bo zaiste, można na krok nie odejść z ojczyzny, a jednak być od niej tak dalekim, jak nie jest dalekim żaden z rozbitków i tułaczy.

Kto umie patrzeć, ten kochać będzie umiał, a każdy liść z drzewa w ojczyźnie niech będzie nam droższy nad dyament korony królewskiej w cudzym gdzieś kraju.

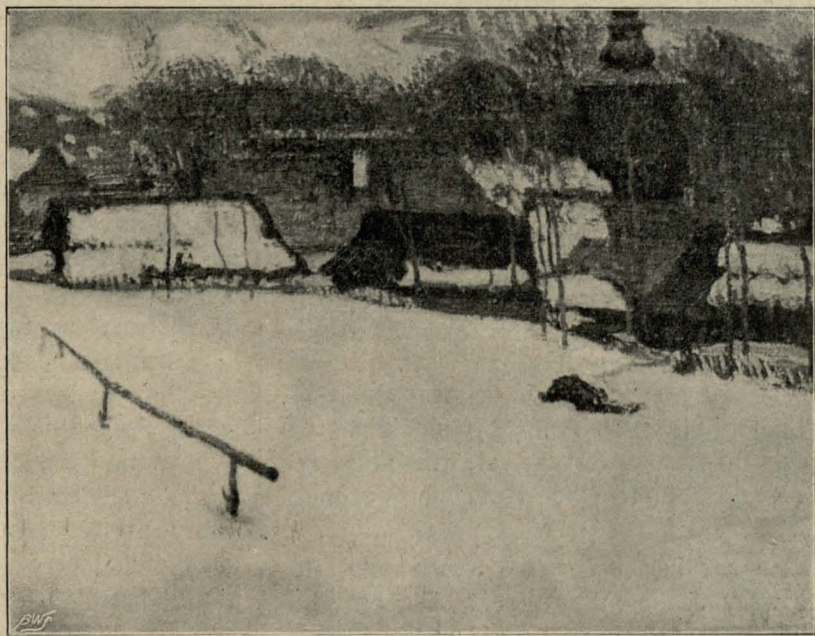
Ukochajmy wszyscy ziemię naszą w każdym jej zakątku, a ta miłość zwiąże nas tak, iż zjednoczą się niechętne serca i spłyną do jednego ogniska rozpięchnięte, rozwiane, odpolszczone dusze.

Powróćmy wszyscy na ojczyzny łono!



O SZAREJ GODZINIE

A. NEUMAN



ZMROK

A. NEUMAN

moc wielka, która budzi i wskrzesza. Zapachniały fijołki, ruń świeża błysła, przedarł się błękit jasny z osłony chmurzysk, i przeleciały górą powracające ptaki.

I oto wiosna zakwitła w całej pełni; przepychem barw zapłonęły łąki, rozgwarem tworów leśnych rozbrzmiewa bór, złocieję w słońcu dojrzewające zboże, czyni się radość, która jest w tych, co żyją i żyć pragną. I tak idzie pełne lato i tak cicha, spokojna, zrezygnowana przepływa jesień, a gdy zbliżyła się zima, to wiesz, że ona minie, jako sen, i myślisz, że przyszła po to jedynie, aby ci ziemię twoją ubrać w królewski, srebrzysty płaszcz, zamienić lasy w zakłete ogrody i wyczarować tak Polskę całą, żebyś ją kochał, jako ów rycerz z bajki uśpioną królową.

I pomyśl: jakiś ty bogaty i możny pan, i wniądź w siebie, i wydobądź miłość wszystką, jaką w sobie masz, i złóż ją tej królowi u stóp, gdyż zaprawdę godna tego, bo cudna, a nieszcześliwa.

Pokłoń się też tym, którzy jej piękność wyśpiewać umieli, jako słowiki Boże, którzy ją wymalowali tobie, abys się przyjrzał i w sztuce obaczył to, czego dojrzeć nie potrafisz w życiu.

Lirnik mazowiecki i lirnik litewski przypominają się sercu twemu, Goszczyński spleta ci Ukrainę z wirchami Tatr, Pol



PO ŻNIWIE

A. NEUMAN

Szymek ciągiem łąził za żoną, w kąty ją ciągał, a tak siarczyście całował, jaże przekpiwali z niego, a Jambroź rzekł posępnie:

— Ciesz się, człowieku, dzisiaj, bo jutro zapłaczesz!—i gonił ślepiami kieliszek.

Co prawda, to i ochoty wielkiej nie było, i na większą zabawę się nie zanosilo, gdyż niejedni, podjadłszy ździebko i posiadziawszy obyczajnie czas jakiś, gdy słońce zaszło i niebo stanęło w ogniach zórz, jęli się już zbierać do domów. Tylko jeden Mateusz srodze się rozochocił, grał, przyśpiewywał, dzieuchy do tańców niewolił, gorzałką częstował, a skoro się pokazała Jagusia, sielnie się z nią stowarzyszał, w oczy zazierał i z cicha, gorąco cosik prawił, nie bacząc na rozjarzone łzami oczy Tereski, stróżujące nieodstępnie.

Jaguś nie stroniła od niego, bo ni ją ziębił, ni parzył, słuchała cierpliwie, zważając jeno pilnie, czy nie nadchodzą Antkowie, z którymi za nic spotkać się nie chciała. Na szczęście nie przyszli, nie było też żadnego z większych gospodarzy, chociaż zaprosinom nie odmówili, a wspomogę na wesele, jak to było zwyczajnie, przysłali, więc skoro ktoś o tem wspomniał, Jagustynka wykrzyknęła po swojemu:

— Żeby ta smaków nagotowali, a zapachniała kufa okowitki, toby się kijem nie opędził od najpierwszych, ale nadarmo nie lubią brzuchów trząchać i suchymi ozorami mleć.

Że zaś już była ździebko napita, to, dojrawszy Jaśka przewrotnego, jak kajś w kącie wdychał żałośliwie, nos ucierał i ogłupiałymi oczami spozierał w Nastusię, pociągnęła go do niej la prześmiewców.

— Potanćuj z nią, użyj se choć tyła, kiej ci matka wzbronili żeniaczki, a zabiegaj kole niej, może ci co z łaski udzieli, ma chłopa, to już jej zarówno jeden czy więcej.

I wygadywała takie trefności, jaże uszy wędły, zaś kiedy i Jambroź dorwał się kieliszka i jął po swojemu gębę rozpuszczając, to już oboje rej wiedli, tak pyskując do śmiechu, aże się trzęsły wszystkie kładuny, ani się spozstrzegając w onej zabawie, jak im przeszła ta krótka noc i na wsi ludzie już podnosili się do roboty.

Że w mig ostał z obcych jeno Jambroź, sączący flachy do sucha, zaś młodzi postanowili zaraz przynieść się na swoje, Mateusz przyniewalał do pozostania w chałupie na jakiś czas, ale Szymek się uparł, konia pożyczył od Kłęba, skrzynie a pościele i statki upakował na wozie, Nastusię z paradą usadził, matce padł do nóg, szwagra ucałował, famieliantom pokłonił się w pas, przeżegnał się, konia

śmignął i ruszył, a pobok szli odprowadzający.

I wiedli się w milczeniu, właśnie słońce co jeno było się pokazało, pola stanęły w roziskrzonych rosach i ptasich śpiewaniach, zaruchały się ciężkie kłosa i wszystkim światem buchnęła weselna radość dnia, co, jak ten święty pacierz, wionął z każdego źdźbła i unosił się wraz ku niebu jasnemu i słońcu, dopiero za młynem, gdy dwa boćki jęły kołować wysoko nad nimi, ozwała się matka, strzepując palcami:

— Na psa urok! Dobra wróżba, będą się wama dzieci darzyć.

Nastusia ździebko poczerwieniła się, a Szymek, wspierając wóz na wybojach, zagwizdał zuchwale i hardo potoczył ślepiami.

Zaś kiej już sami ostali, Nastusia, rozjejrawszy się po swoim nowem gospodarstwie, rozplakała się żałośnie, aż Szymek krzyknął:

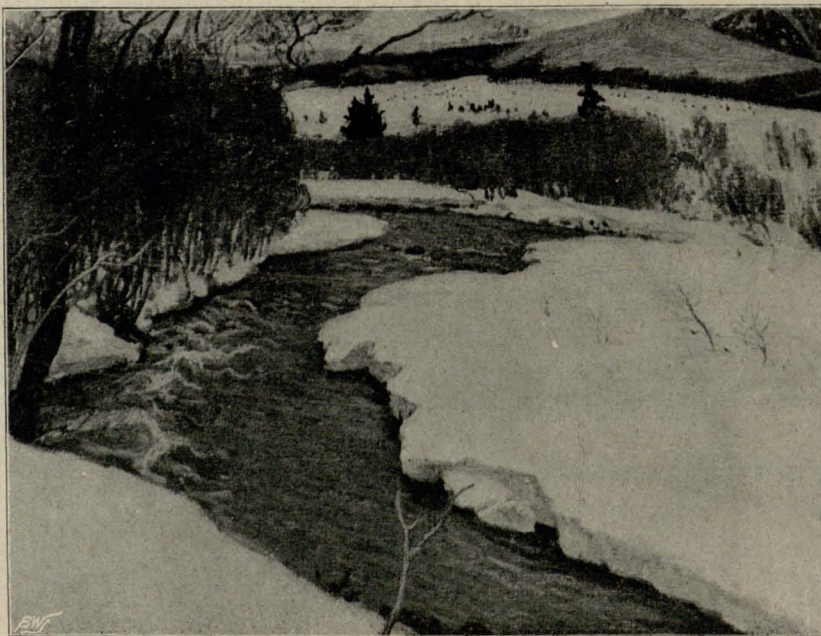
— Nie bucz, głupia! Drugie i tyła nie mają! Jeszcze ci będą zazdrościły — dodał, a że był wielce strudzony i nieco napity, uwalił się w kącie na słomie i wnet zachrapał, a ona, urządziwszy jako tako w izbie, zasiadła pod ścianą i popłakiwała, spozierając na białe ściany Lipiec, widne ze sadów.

I nieraz jeszcze płakała na swoją biedę, jeno co już coraz rzadziej, gdyż wieś jakby się zmówiła na ich wspomnienie. Najpierwej przyszła Kłębowa z kokoszką pod pachą i stadem kurczątek w koszyku i snać dobry zrobiła początek, bo prawie każdego dnia zaglądała do niej któraś z gospodyń, a nie z próżnymi rękami.

— Ludzie kochane, a czymże się ja wam odslużę—szepiała wzruszona.

— A choćby dobrem słowem—odparła Sikorzyna, dając jej kawał płótna.

— Jak się dorobisz, to oddasz biedniejszym—dodała rozsapana Płoszkowa, wyciągając z pod zapaski niezgorszy kawał słoniny.



Roztopy

I nanieśli jej tyła, że mogło starczyć na długo, a któregoś zmierzchu Jasiek przywiódł im swojego Kruczka i, uwiązawszy go pod chałupą, uciekał, jakby oparzony.

Śmiali się niemało, rozpowiadając o tem Jagustynce, wracającej z boru, stara skrzywiła się wzgardliwie i rzekła:

— W przypołudnie zbierał la cię, Nastuś, jagódki, ale matka mu odebrała.

Pociągnęła do Borynów, niesąc czerwonych jagód la Józki, a że właśnie Hanka doila krowy przed chałupą, przysiadła pobok na przyźbie, rozpowiadając szeroko, jak to Nastusię obdarzają.

— Hale, na złość Dominikowej to robią—zakończyła.

— Nastce to zarówno, ale trzaby i mnie co ponieść—szepnęła Hanka.

— Narychtujcie, to zaniesę—nastęczała się skwapnie, gdy z izby rozległ się słaby, proszący głos Józki:

— Hanuś, dajcie jej moją maciorę! Zamrę pewnikiem, to Nastuś za to zmówi za mnie jaki pacierz.

Trafiło to Hance do myśli, bo zaraz kazała Witkowi wziąć prosię na postronek i pognać do Nastusi, gdyż iść samej czegoś się wagowała.

— Witek, powiedz ino, co to maciora ode mnie! A niech przyleci rychło, bo ja się już ruchać nie poredzę!—zaskarżyła się boleśnie, chorzało bowiem biedactwo od tygodnia, leżała po drugiej pustej stronie, spuchnięta, w gorączce i cała obwalona krostami, zrazu wynosili ją na dzień do sadu pod drzewa, bo skamlała żałośnie:—Dyć na słońce puście, prędzej postyszę co na wsi.

Ale cóż, kiej się tak pogarszało, że Jagustynka wzbroniła ją wynosić na powietrze.

— Musisz leżeć po ciemku, bo na słońcu wszystkie krosty padną na wąpia.

I leżała samotnie w przyćmionej izbie, pojękując jeno i skarżąc się cichuśko, że nie dopuszczają do niej dzieci, ni żadnej z przyjaciółek, gdyż Jagustynka, mająca ją w opiece, kijaszkiem odganiała każdego.

A teraz, skoro ugwarzyła się z Hanką, podetknęła chorej jagód i wzięła się do wygniatań maści z czystej gryczanej mąki, zarobionej obficie świeżem, niesolonem masłem i samymi żółtkami, obwaliła nią grubo twarz i szyję Józki, a na to nakładła mokrych szmat, dziewczyna cierpliwie poddawała się lekom, jeno trwożnie rozpytyując:

— A nie będzie dziobów na polikach?

— Nie zdrapuj, to przejdzie ci bez znaku, jak Nastusi.

— Kiej tak swędzi, mój Jezul! To mi już lepiej przywiążcie ręce, bo nie wytrzymam!—prosiła łzawo,

ledwie wstrzymując się od darcia skóry, stara wymru- czała nad nią jakąś zamo- wę, okadziła wysuszonym rozchodnikiem i, przywią- zawszy jej ręce do boków, odeszła do roboty.

Józka leżała cicho, za- słuchana w brzęki much i w ten dziwny szum, co się jej ciągiem przewalał po głowie, słyszała, jak przez sen, że niekiedy kto- sik z domowych zaglądał do niej i odchodził bez słowa, to się jej widziało, że ciężkie od rumianych jabłuszek gałęzie zwisają nad nią tak nisko, a ona próżno się zrywa i dosię- gnąć ich nie poredzi, to znowu, że owieczki cisną się dokola z jakimś żało- snym bekiem, ale, skoro Witek wsunął się do izby, zaraz go rozeznała.

— Zapędziłeś maciorkę? Cóż pedziała Nastusia?

— Taka była rada prosiakowi, że dziw go w ogon nie całowała.

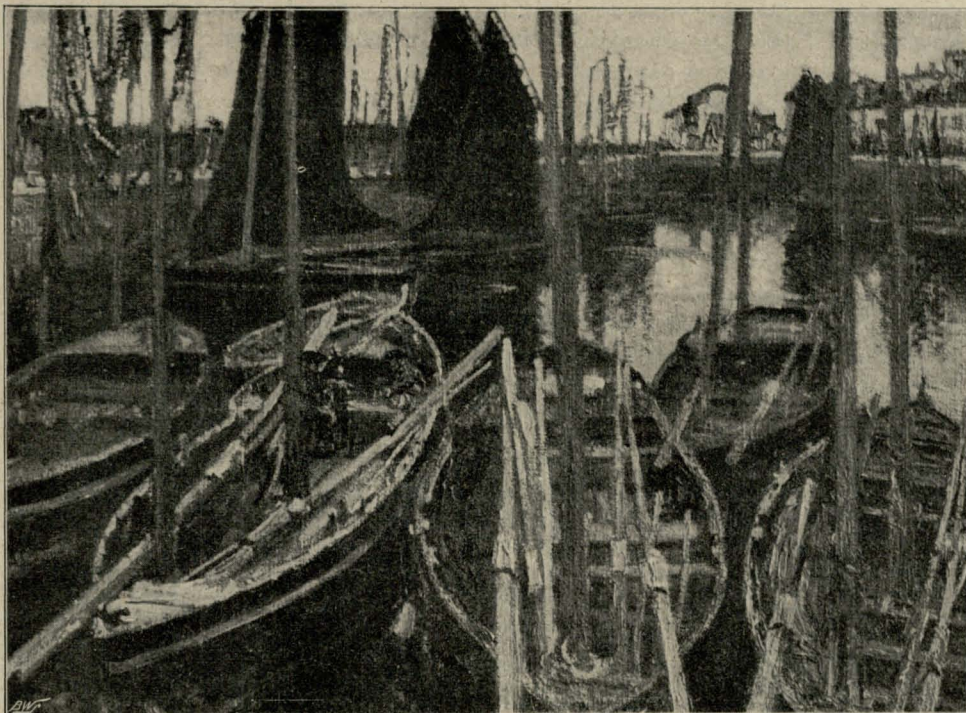
— Widzisz go, będzie się z Nastusi prześmiewał!

— Prawdę mówię! I kazała pedzieć, co jutro do cię przyleci.

Zaczęła się nagle rzucać na łóżku i trwożnie wołać:

— Odpędź je, bo me zatratują, odpędź! Basiuchny! Baś! Baś!

I jakby zasnęła, tak leżała spokojnie, Witek odszedł, ale zaglądał do niej co tro- chę, spytała go niespokojnie:



Concarneau w Bretanii

— Czy to już polednie?
— Kole północkska być musi, wszystkie śpią.

— Prawda, ciemno! Wybierz wróble z pod kalenicy, piszczą, jak wypierzone!

Jął cosik rozpowiadać o gniazdach, gdy zakrzyczała, usiłując się podnieść.

— A gdzie Siwula! Witek, nie puszczaj w szkodę, bo cię ociec spierą!

Któregoś razu kazała mu bliżej przy- siąść i szeptem rozpowiadała:

— Hanka mi wzbrania na wesele Na- stusi, ale na złość pódę i przybierę się w mo- dry gorset i w tę kieckę, com to w niej by- ła na odpuście. Oczy za mną wypatrzą, zo- baczysz! Witek, narwij mi jabłęk, niech cię

A. Neuman

— Józia, pogładź ptaszki, to ci zapiu- kają, pogładź.

— Jakże, mam to czem—jęknęła, uno- sząc głowę.

I gdy odwiązał jej ręce, wzięła trzepo- czące się ptaszki w zdrętwiałe, bezsilne dło- nie, cisnąc je do twarzy i oczów.

— Tak się w nich dusza tłucze, tak się boją, biedoty! Puść je, Witek!

— Sam wytropiłem i będę to puszczał —bronił się, ale je wypuścił.

A znowu kiedyś przyniósł młodego za- jączka i, trzymając go za uszy, posadził przed nią na pierzynie.

— Trusia kochana, trusiuchna, od ma- tuli cię wzieni, sieroto, od matuli. (CDN)

SYN LUDWIKA XVI.

Zwiedzając przed laty kilku cmentarz wioski Gleizé, w departamencie Rodanu, p. Jan de Bon- nefond zauważył tam płytę grobową z napisem na- stępującym:

1785.

NUL NE DIRA SUR MA TOMBE:

PAUVRE LOUIS,

QUE TU FUS A PLAINDRE!

1853.

PRIEZ DIEU POUR LUI.

Napis ten zagadkowy zaciekał do tego stopnia turystę, że rozpoczął poszukiwania i oto po nitce do kłębka doszedł do odkrycia tajemnicy, a mianowicie, że grób ów kryje zwłoki bar. de Richemont, zmarłego dnia 10 sierpnia 1853 r. w po- bliskim zamku Vaurenard, należącym wówczas do hrabiny d'Apcher de Vabre, oraz że hrabina uzna- wała w zmarłym syna króla Francji, Ludwika XVI, ścietego, jak wiadomo, podczas wielkiej re- wolucji francuskiej, dnia 21 stycznia 1793 r.

Pochowawszy „króla“, hrabina kazała poło- żyć na grobie jego kamień z napisem, ułożonym przez siebie:

CI—GIT

LOUIS—CHARLES DE FRANCE

*Fils de Louis XVI et de Marie-Antoinette,
Né à Versailles le 17 mars 1785;
Mort à Gleizé le 10 août 1853.*

W pięć lat jednak później, na skutek de- nuncjacyi, podprefekt miasta Villefranche zjawił się w zamku i rozkazał usunąć napis z grobowca. Zmuszona do spełnienia tego rozkazu, hrabina ka- zała kamień odwrócić i wyryć na nim napis, przy- toczony na początku, a dotychczas istniejący.

Odkrycia powyższe zniewoliły p. de Bon- nefond do zajęcia się raz jeszcze legendą o uciecz- ce z więzienia Temple w Paryżu dziewięcioletnie- go delfina Francji, Ludwika Karola, a także dzie- jami tych wszystkich osobistości, które w pierwszej połowie ubiegłego stulecia narobiły niemało wrza- wy, podając się za delfina.

Wynikiem owych dochodzeń stała się książ- ka, z której treścią pragniemy zapoznać czytel- ników *).

* * *

Według danych urzędowych władz rewolu- cyjnych, syn Ludwika XVI, delfin Francji, Ludwik

*) Le Dossier du Roi publié par M. Jean de Bonnefond. „Le Baron de Richemont Fils de Louis XVI”. Louis Michaud. Editeur. Paris.

Karol Capet, zmarł w więzieniu Temple dnia 8 czerwca 1795 r.

Według natomiast legendy, uporczywie krą- żącej wśród ludu francuskiego, a zwłaszcza wśród rojalistów, zmarły nie był delfinem, lecz dzieckiem podstawionem.

Pan de Bonnefond dowodzi, że tak było istot- nie. Delfina wykradziono w styczniu 1794 r. za sprawą ks. Kondeusza oraz pp. hr. de Fratté i Ojardiasa.

Przekupiwszy dozorców młodego księcia, mał- żonków Simon, panowie ci dostarczyli do więzie- nia wielkiego konia z tektury, przeznaczonego rze- komo na zabawkę dla delfina, w rzeczywistości zaś ukrywającego we wnętrzu swoje dziecko w wie- ku księcia, uspięne za pomocą narkotyku.

Dziecko ułożono na łóżeczku delfina, konia zaś wyniesiono copędzej z więzienia, aby nie przyszło komu ze straży do głowy przypatrzeć się bliżej. Gwardziści municypalni, stojący w bramie więzienia, zdziwili się, co prawda, widząc wyno- szonego konia, wytlómaczono im jednak, że „mały Capet“ nie tylko nie chce bawić się tą za- bawką, ale nawet tak się jej przeląkł, że trzeba ją usunąć.

Sprawa do połowy załatwiona. Pozostawała

jeszcze do dokonania niełatwa czynność wyniesienia delfina z kaźni. Podjęła się tego pani Simon i wyniosła dziecko w tłumoku brudnej bieleziny, nie zwróciwszy na siebie uwagi straży więziennej.

Otrzymałszy—opowiada p. de Bonnefon—młodego księcia z rąk dozorczyń, Ojardias zaprowadził go do pewnego domu, w którym oczekiwał już na zbiega de Fratté w towarzystwie dwóch pań. Jedną z nich była Józefina de Beauharnais, późniejsza małżonka Napoleona I.

Po kilku dniach Ojardias wywozi delfina, przebranego za dziewczynkę, z murów Paryża. Bez przeszkód dotarło do zbuntowanej Wandei i umieszczono dziecko w obozie słynnego generała rojalistów, Charette'a de la Contrie. Wkrótce jednak wieść o przybyciu delfina rozeszła się wśród Wandejczyków, wobec czego uznano za stosowne usunąć zbiega z obozu i przewieźć do odosobnionego zamku hrabiny de Turpin-Crissé w Angry.

Ale nie mógł syn Ludwika XVI pozostać długo i w tym schronisku, jakkolwiek uchodził tam za wnuka hrabiny. Z jednej strony zbyt gorliwie poszukiwała go Konwencya—nie ulega bowiem wątpliwości, że rząd republikański wiedział o ocaleniu księcia, z drugiej zaś—zaniepokojony wieścią o ucieczce z Temple stryj delfina, hr. Prowancyi, późniejszy Ludwik XVIII.

Należało zatem uprowadzić dziecko zagranicę.

I to udało się szczęśliwie. Wsadzony tajemnie na statek w porcie La Rochelle, delfin wylądował na wybrzeżach Holandyi, a stamtąd przeniesiono go do obozu ks. Kondeusza w Steinstadzie.

Lecz i tu wieść o przybyciu młodziutkiego Ludwika Karola rozeszła się szybko, aż wreszcie dotarła do hr. Prowancyi. Hrabia postanawia sprawdzić wieść osobiście i przybyć do obozu Kondeusza.

Opiekunowie księcia, obawiając się, aby odwiedziny te nie skończyły się zniknięciem ich pupila, uwożą go z obozu, znów w przebraniu dziewczynki, i oddają pod opiekę ciotkom Ludwika XVI, Adelajdzie i Wiktoryi, mieszkającym w Rzymie.



Ludwik XVI-ty.

cza do Piemontu. Ks. de Castillon wysłał wobec tego wychowawca do księżnej Orleanu, mieszkającej w Barcelonie. Stamtąd delfin udaje się do Lizbony, do regenta Portugalii. Prześladowany atoli przez osoby, mające w tem interes osobisty, zmuszony jest niebawem do opuszczenia Portugalii na okręcie „Spartiate“. Okręt ten rozbija się u wybrzeży Normandyi.

Księżę, liczący już wówczas lat 15, dostaje się sam jeden na wybrzeże i wędruje pieszo, odarty i bez funduszów, do Cherbourgu.

Aresztowany za włóczęgostwo wkrótce po wylądowaniu, księżę oświadcza, że nazywa się Hervagault i pod tem nazwiskiem zostaje odesłany do rzekomych krewnych w Saint Lô. Ucieka wszelako stamtąd i, aresztowany ponownie, przyznaje się tym razem do pochodzenia królewskiego. Osądzony na 4 lata więzienia, wypuszczony na wolność po odsiedzeniu kary, znów aresztowany i wreszcie wzięty do wojska, dostaje się, jako szeregowiec piechoty marynarki, na okręt „Cybèle“. Tam rozchorował się obłożnie. Przeniesiono go więc do szpitala w Lorient. Korzysta z tego i przy pierwszej sposobności dezertuje.

W 1810 r. wyjeżdża do Brazylii, znajduje tam opiekę na dworze cesarza Jana VI i oddaje się nauce. Z chwilą

wszelako, gdy do Brazylii dochodzi wieść o upadku Napoleona I, zawiadamia mocarstwa o istnieniu swoim, protestuje przeciwko objęciu tronu francuskiego przez stryja swego, hr. Prowancyi, i opuszcza kraj, w którym znalazł przytułek pięcioletni.

Wylądowaw-



Marya Antonina.

szy w 1815 r. w Guernesey, rozpoczyna pierwsze kroki w celu odzyskania praw swoich, ale, aresztowany niebawem, dostaje się do więzienia w Rouen, tym razem pod nazwiskiem Mathurina Bruneau.

Stronnicy, których liczy coraz więcej, ułatwiają mu ucieczkę i zaopatrują w fundusze. Księżę jedzie do Włoch, spędza 8 miesięcy w Modenie, ale zdradza się przez korespondencję, prowadzoną z przyjaciółmi, mieszkającymi we Francji, zostaje przeto aresztowany przez Austryaków na żądanie władz francuskich. Osadzony w więzieniu najpierw w Modenie, a potem w Medyolanie, składa tam, pomimo gróźb, oświadczenie na piśmie, iż jest Ludwikiem Karolem księciem Normandyi, synem Ludwika XVI i Maryi Antoniny. Wypuszczony na wolność po śmierci Ludwika XVIII, przenosi się do Paryża, zawiadamia izbę parów o swem pochodzeniu i przyjmuje tytuł ks. Normandyi. Po rewolucyi lipcowej protestuje przeciwko wstąpieniu na tron Ludwika Filipa, a następnie ogłasza odezwę do parlamentu i narodu francuskiego, dopominając się o prawa swoje.

Aresztowany za to, staje przed sądem w Pa-

ryżu w 1834 r. Pomimo dzielnej i wymownej obrony, sąd skazuje go za spisek, posiadanie drukarni tajnej, noszenie broni i t. d. na 12 lat więzienia pod nazwiskiem bar. de Richemonta.

Osadzony w Sainte Pelagie, spędza tam rok zaledwie; i tym bowiem razem stronnicy, wśród których znajduje się już wielu członków arystokracji francuskiej, ułatwiają mu ucieczkę oraz wyjazd zagranicę, gdzie przebywa dwa lata, poczem wraca do Francji.

Amnestya, ogłoszona w 1840 r., pozwala mu na pobyt jawny. W ciągu lat trzech (1843—46) ogłasza pamiętniki p. t. „Mémoires d'un contemporain“, zwraca się w 1848 r. do Zebrania narodowego z prośbą o przyznanie mu nazwiska ojca i praw obywatela francuskiego, w 1849 r. ma posłuchanie u papieża Piusa IX i stara się usilnie, aby księżna d'Angoulême, córka Ludwika XVI, uznała go za brata. Księżna odmawia temu żądaniu, w końcu więc pozywa ją do sądu. Zanim wszakże przyszło do rozprawy sądowej, księżna d'Angoulême umiera dnia 19 października 1851 r.

Zgnębiony tem, zamknięty w sobie i nieprzystępny, spędza bar. de Richemont ostatnie lata życia na zamku zagorzalej stronnicy swej, hrabiny d'Apchier de Vabre, gdzie też, jak zaznaczyliśmy na początku tego artykułu, dokonywa żywota.

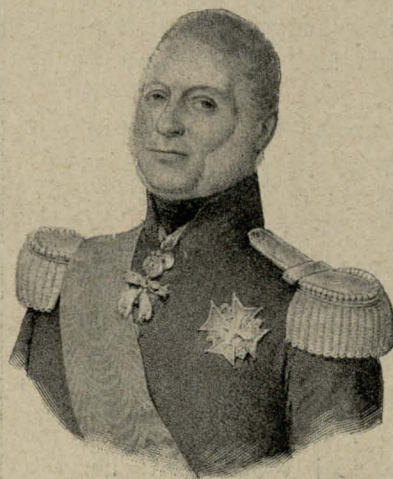
* * *

Prawdziwość naszkicowanych zaledwie powyżej dziejów człowieka, uchodzącego dotychczas za oszusta i uzurpatora, stwierdza p. de Bonnefon dowodami licznymi. Między innymi, znajdujemy tam ciekawe wyciągi z traktatów, zawartych w 1802 i 1814 r., świadczące, zdaje się, niezbicie, że, bądź co bądź, ówczesny świat dyplomatyczny nie wierzył w śmierć delfina Ludwika Karola. W obu bowiem traktatach zastrzeżono, że, jakkolwiek mocarstwa przyznają hr. Prowancyi tytuł króla Francji, pod nazwą Ludwika XVIII, to jednak w stosunkach pomiędzy mocarstwami Ludwik XVIII ma być uważany tylko za regenta oraz ma zrezygnować w razie potrzeby z tej godności wysokiej.

Co się tyczy innych dowodów, to odsyłamy

czytelnika do dziełka p. de Bonnefon. Znajdzie ich tam bez liku. Słusznie też nazwał autor książkę swoją: „Le Dossier du Roi“ t. j. „Zbiorem aktów“, dotyczących osoby króla, co prawda bez korony.

S. BARSZCZEWSKI.



L'ex-baron de Richemont, syn Ludwika XVI-go.



Duc de Normandie, l'ex-baron de Richemont, w 1831 r.



Louis Charles de France, książę Normandyi, i Marie Thérèse Charlotte de France, późniejsza ks. d'Angoulême.



Giełda w Londynie.

Wobec podjęcia w ostatnich czasach przez kupiectwo warszawskie próby nawiązania stosunków handlowych z Wielką Brytanią warto przypomnieć, jakim był handel naszego kraju z Albionem w przeszłości. Już w wieku XIV spotykamy pierwsze ślady rokowań komercyjnych między Ryszardem II a miastem Toruniem, w następnym stuleciu kupcy krakowscy jeżdżą z drogimi kamieniami do Anglii, o czym przekonywa przywilej królewski 1458 r., dany Jerzemu Morsztynowi z Krakowa, a zezwalający mu na „wprowadzenie do Anglii na sprzedaż rubina wagi 214 karatów, lub wyprowadzenia go, gdyby nie sprzedał, z warunkiem jedynie, aby ów klejnot okazał Królestwu Ichmość“.

Przyjaźniejsze atoli stosunki Anglii z Rzeczpospolitą polską datują się od czasu, gdy Anglia zajęła silniejsze stanowisko na morzu Bałtyckim, szczęśliwie konkurując z możnym dotychczas kupiectwem hanzeatyckim i holenderskim. Wówczas liczni kupcy albiońscy, opatrzeni szczególniejszą opieką rządu polskiego, zaczęli budować składy i zakładać kantory w całym kraju, zwłaszcza nad brzegami rzek spławnych. Tak powstały kosztowne i zasobne śpichlerze w Kownie nad Niemnem i w Kazimierzu nad Wisłą; Kiejdany na Żmujdzi zaludniły się Szkotami, uciekającymi przed prześladowaniem Jerzego I-go. Kompania Wschodnia, założona w r. 1579 przez królową Elżbietę i uposażona wyłącznym prawem prowadzenia handlu na morzu Bałtyckim, miała swoje składy w Elblągu, później w Gdańsku, Królewcu i Rydze.

Z początku handel angielski miał do zwalczania konkurencję miast hanzeatyckich, z czasem jednak, dzięki zabiegom rządu polskiego, przezwyciężono wszelkie trudności i utrwalono na Bałtyku powagę bandery handlowej brytyjskiej. Decydującymi były w tej mierze osobiste starania królowej Elżbiety, która w liście z 1589 r. do Zygmunta III udawała się o opiekę nad handlem angielskim, wykazując korzyści, jakie wynikną dla obu narodów ze wzajemnych stosunków komercyjnych. „Wyniknie stąd dla W. Królewskiej Mości — pisała królowa — niemała chwała, gdy dowodzą przykłady, iż, gdzie tylko kupcy angielscy osiedli, natychmiast miasta te rosły w zamożność i bogactwa... przez wzajemne między poddanymi naszymi zamiany i handel, przez ścisłą między nami przy-

jaźni pożytki państw naszych pomnożą się...“

Na list ten odpisał Zygmunt III, zapewniając o swej dla handlu angielskiego przychylności. Najwymowniejszym zaś świadectwem stosunków przyjaznych Polski z Anglią jest konstytucja sejmu warszawskiego z 1650 r., która dla wspomnienia skarbu angielskiego nałożyła na kupców albiońskich, przebywających w Polsce, podatek wysokości 10% od majątku, polecając złożyć zebraną w ten sposób sumę na ręce posła angielskiego i uwalniając na ten raz rzeczonych kupców od wszelkich innych podatków, a to tylko „zawdzięczając chęci dziada króla Imci Angielskiego, który Rzplitej *tempore necessitatis belli*



Katedra św. Pawła w Londynie.

Turcici oświadczył, chcąc mu jakąkolwiek *opem ferre in hac ipsius calamitate*“.

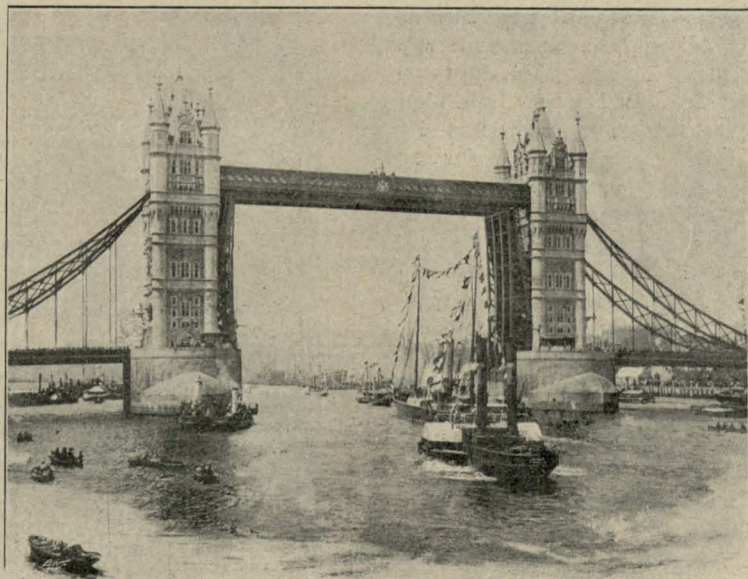
Za panowania królowej Anny Anglia i Holandya dla utrzymania swych stosunków handlowych z Polską nie wahały się wystąpić przeciw Karolowi XII, królowi szwedzkiemu, byle tylko zasłonić Rzplitej od jego przywłaszczeń. Traktat z r. 1707 między królową Anną a Gdańskiem warował kupcom angielskim ich prawa handlowe. Pozwolono im posiadać własne składy i sklepy, zawarowano wolność wprowadzania wszelkich bez różnicy towarów angielskich za nader małą opłatą, zastrzeżono wreszcie, że żaden naród nie może uzyskać praw ulgowych, któreby równocześnie nie stosowały się i do Anglii. Umowa powyższa potwierdzona została w całej rozciągłości przez artykuł 13 traktatu utrechckiego z r. 1713.

Nie na tem jednak ograniczyły się korzyści rządu angielskiego w Polsce. Pomimo zabiegów wielu mocarstw europejskich, np. Hiszpanii, która pragnęła pozyskać wyłączny przywilej zakupywania polskiego zboża i drzewa, Anglia utrzymała monopol na handel wywozowy z Polski. Wartość przywozu i wywozu angielskiego w Gdańsku w okresie 1697—1773 r. wynosiła według urzędowych danych brytyjskich, 906,076,040 złotych pol., czyli przeciętnie niespełna 12 milionów złp. rocznie. „Gdańsk — głosi urzędowy raport angielski z roku 1826 — jest pierwszym z portów stałego lądu, z którego Anglia ciągnie największe zapasy zboża“. Jest rzeczą godną uwagi, że handel angielski z Polską przewyższał podówczas handel ze Szwecją, Danią i Norwegią, a nawet z Francją, ten ostatni bowiem oceniano w tym samym okresie czasu na 760 milionów złp.

Handel angielski w naszym kraju opierał się przede wszystkim na zbożu, którego Polska dostarczała około 100 tysięcy łasztów rocznie; zboże polskie w wyborowym gatunku, wobec znacznych ówczesnie kosztów przewozowych, było tańsze od amerykańskiego. Len, wywożony z samej tylko Rygi, oceniano rocznie na 15 tysięcy złp. Drugim głównym produktem było drzewo oraz wszelkie artykuły, potrzebne do budowy okrętów, jak smoła, konopie, liny, żagle i t. p. Nabywali wreszcie kupcy angielscy w Polsce miody, futra, pierze, saletrę, dostarczając wzamian tabakę, artykuły kolonialne, zwłaszcza cukier, wyroby wełniane i bawełniane, przedmioty galanteryjne, piwa, likiery, metale i t. p. Upodobanie w wyrobach i towarach angielskich było powszechne, o czym po dziś dzień świadczą pałace magnackie i zbiory w naszych muzeach.

Handel z Polską był zawsze sprawą pierwszorzędnej wagi dla Anglii. Rozumieli to najwięksi mężowie stanu Wielkiej Brytanii. Kwestję rozwoju stosunków handlowych i podniesienia przemysłu polskiego specjalnie podkreślał znakomity Pitt młodszy w czasie negocjacji z ks. Michałem Ogińskim już na schyłku dni Rzplitej.

Zmiana w stosunkach politycznych i ekonomicznych dokonała głębokich przeobrażeń i w sferze spraw handlowych obu narodów; podniesione atoli w chwili obecnej hasło uniezależnienia naszego kraju pod względem ekonomicznym od Niemiec powinno skierować kupiectwo polskie do nawiązania ściślejszych związków handlowych z Albionem; nie tylko tradycje przeszłości dziejowej, ale nade wszystko dobrze zrozumiany interes wskazuje drogę, po której iść trzeba i należy.



Most wieżowy w Londynie.



DOMENICA



PRACZKI Z ANTICOLI

S. HIRSZENBERG

S. HIRSZENBERG

SAMUEL HIRSZENBERG.

Zdawałoby się, że w sztukach plastycznych, kiedy chodzi wyłącznie o wyraz wrażeń wzrokowych, najmniej zaznaczyć się mogą jakieś odrębności narodowe. I istotnie tak jest w pewnej mierze, jeżeli obraz lub rzeźba stanowią obiektywne, realistyczne studium natury, choć i tu także występują dość charakterystyczne znamiona, właściwe pochodzeniu artysty, co leży już to w odmiennym sposobie widzenia, już to w specjalnym rytmie, jakim się dana grupa etniczna lub rasowa najogólniej i najwyraźniej manifestuje. Prawdziwe jednak różnice tkwią dopiero w koncepcjach twórczych, w całości kształcie dzieła ducha, w ostatecznym wyrazie myśli i uczuć artysty, który, jako indywidualność, nie mógł się przecie pozbyć pewnych swoistych cech narodowych.

Tak nawskroś narodowym malarzem żydowskim był zmarły w tych dniach w Jerozolimie, a zaszczytnie znany u nas artysta, Samuel Hirszenberg. Zapewne nie przekona o tem wyjęte z dorobku jego jakieś jedno studium akademickie, jakieś wrażenie, zanotowane w podróży po Europie, jakaś czysto malarska impresja kolorysty lub plastyka; ale żadnych wątpliwości mieć już nie można, skoro Hirszenberg wystąpi, jako kompozytor, skoro, jako twórca, da wyraz artystyczny temu, co stanowi zasadniczy ton jego duszy. Przeglądając całość dorobku przedwcześnie zgasłego artysty, uwidocznili się w sposób, nie ulegający zaprzeczeniu, że judaizm był niejako glebą rodzącą, wyłącznym polem wszystkich jego poczęć duchowych. Świadczą o tem choćby tytuły wybitniejszych utworów artysty, jak: „Jeszybolem”, „Ester i Amon”, „Siesta sobotnia”, „Żyd wieczny tułacz” i wiele innych.

Judaizm nie przedstawia zbyt podatnego gruntu do uprawy sztuk plastycznych. Stają temu na przeszkodzie wskazania religijne, zabraniające przed-

stawiania w obrazie istot żywych, ażeby tym sposobem zabezpieczyć wiernych od bałwochwalstwa. Wiadomo zresztą, że te właśnie pierwiastki semickie w pierwszej dobie kościoła Chrystusowego podkopały istotność tak wspaniale ongi rozwiniętych w Grecji sztuk plastycznych i były motywem kierowniczym wrogiego im ruchu, znanego w historii pod nazwą obrazoburstwa.

Niemniej przecież odwieczne tendencje religijne nie pozbawiły synów Izraela zmysłu plastycznego, i stałe ktoś z Żydów wybijał się na zgoła pierwszorzędne miejsce w dziejach sztuki nowożytnej. Hirszenberg ma tam też swoją kartę, bardzo ładnie zapisaną.

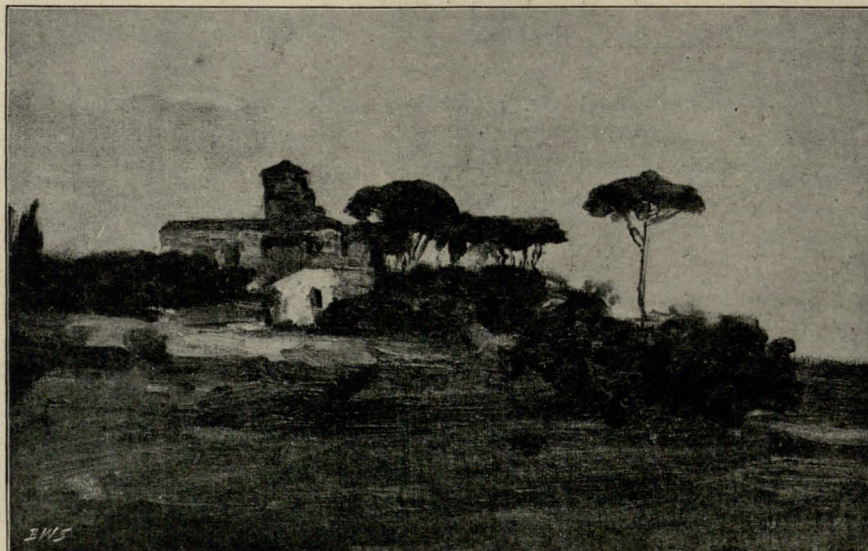
Urodził się w roku 1866 w Drohobyczu w Galicyi, nie zaś w Łodzi, jak mylnie niektóre źródła nasze informacyjne podają. W Łodzi tylko wychowywał się do 15 roku życia. Tam też prawdopodobnie uczył się początków rysunku. Ale już jako piętnastoletni chłopiec,

wstępuje do szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie pozostawał przez lat cztery. Następnie podążył do Monachium do akademii, którą ukończył w roku 1889. Tu też rozpoczął pracę samodzielną, obrazami „Urania” i „Jeszybolem”, nagrodzonymi potem medalem srebrnym na wystawie paryskiej. W Paryżu malował „Esterę i Amona”, kompozycję o bogatych motywach wschodnich. W r. 1891 powrócił do Krakowa i tu wystawiał wiele utworów o tematach przeważnie żydowskich. W roku 1893 osiedlił się na stałe w Łodzi, aż go stamtąd przed rokiem zarząd kolonii żydowskich w Palestynie powołał na stanowisko kierownika szkoły sztuk pięknych w Jerozolimie. Na tej to placówce, wierny zawsze swemu posłannictwu, byłby niewątpliwie przyniósł sztuce narodu swego nieobliczone usługi, ale go zaskoczyła śmierć przedwcześnie. Cześć jego pamięci.

T. J.

DOZWÓLCIE!

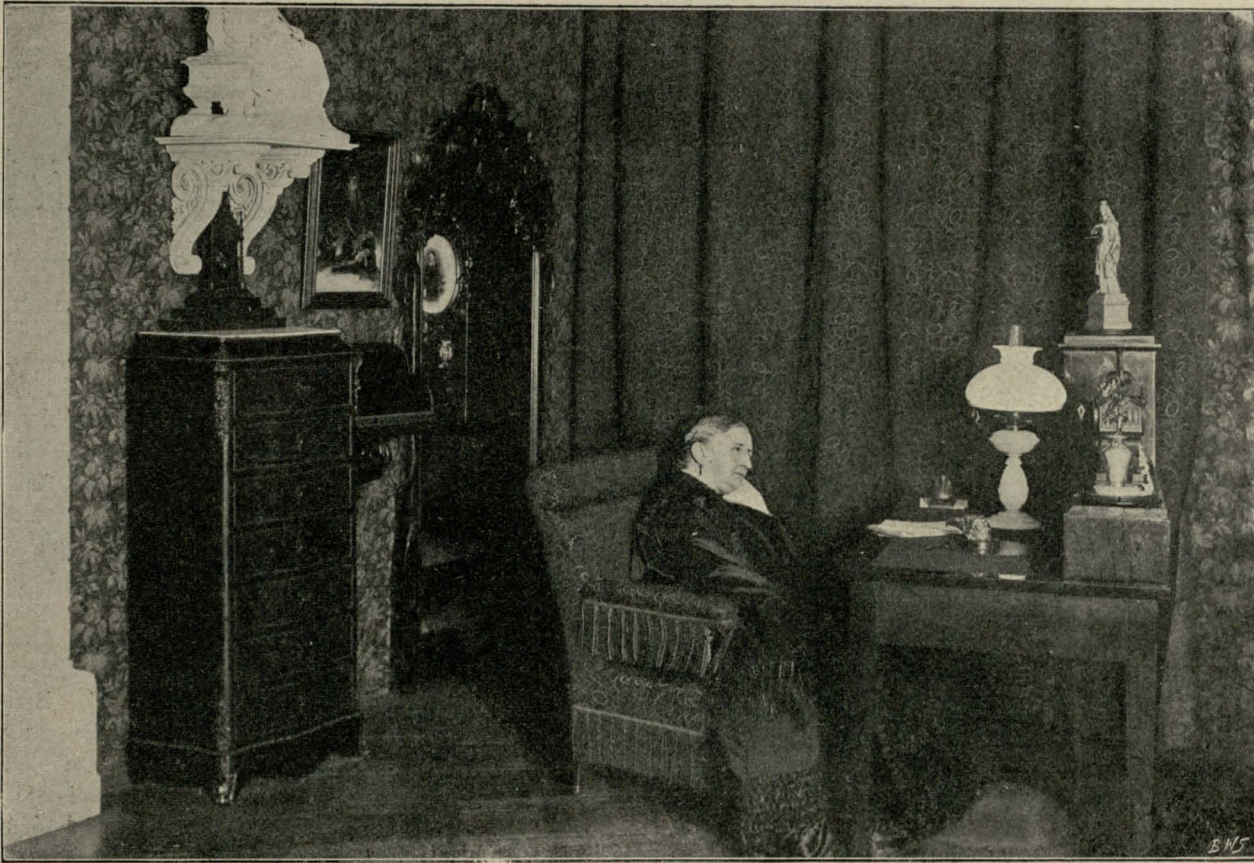
Dozwólcie! niechaj dziatki przybliżą się
ku mnie,
Pragnę dobrze, serdecznie pogadać dziś
z niemi,
Z tymi jasnowłosymi aniołkami ziemi—
Dozwólcie! niech się zbliżą ochoczo
i tłumnie!
One żyją, a wyście żywot swój już trumnie
Oddali i jesteście, jak mogły, niemi,
Serce wasze, przywarte głazami ciężkimi,
Nigdy już nie zapagnie żyć szczytnie
i dumnie.
O! śmierci najemniki! jej żalodne żeńce,
Nieście płony jej, niechaj z niemi was
pochłonnie,
Zagłuszyliście Boże głosy w waszem łonie;
W was, dziatki, żywie Prawda—dajcie
mi swe ręce!
Zakochałem się w czystej serc waszych
piosenice
I w oczach waszych jasných, jak
niebiosów tonie.
K. WOYCZYŃSKI.



Motyw z kampanii rzymskiej

S. Hirszenberg

DEOTYMA U SIEBIE

Fot. dla „Tygodnika”
Władysław Karoli

DEOTYMA (1834–1908).

Ostatnia przedstawicielka wielkiej doby romantycznej poezji polskiej zesłała do mogiły. Po długim a obfitem w plony życiu, po obdarowaniu skarbcą literatury ojczystej szeregiem niepospolitych dzieł o szerokim zakresie i wysokim napięciu artystycznym położyła się do trumny Deotyma, syta laurów i chwały, uczczona pogrzebem, jakiego od wielu, wielu lat nie widziała Warszawa.

Obdarzona niewątpliwie talentem poetyckim dużej miary, od dziecka objawiała zadziwiającą zdolność improwizowania. W słynnym w Warszawie salonie ich rodziców, niezwykle wykształconych i rozumnych ludzi, zbierało się najprzedniejsze towarzystwo stolicy. Na wieczorach tych młodzietkiej dziesięcioletniej dziewczynce zadawano tematy, na które w mowie wiązanej odpowiadała, budząc zachwyt obecnych, roznoszących daleko sławę cudownego dziecka.

Tego rodzaju popisy, nieco sztuczne z natury swojej, wyrobić musiały w młodocianej poetce pewną oschłość, pewną, że się tak wyrażę, scholastyczność w treści i w formie. Sztuczność ta przebija się w wielu utworach Deotymy, nacechowanych i przeładowanych erudycją, poprawnych pod względem formy, ale nie porwujących czytelnika. Dziwią—nie grzeją.

W bogatej puściźnie, pozostawionej przez poetkę, znajdują się jednak mnogie liryki przedziwne piękne, wykończone, wyczelowane, jak kosztowne cacka roboty artystów-złotników z epoki renesansu. „Pieśń o Kruszwicy“, „Pieśń wotywna“, „Modlitwa“ pozostaną nazawsze perłami liryki polskiej.

Z wielkich poematów Deotymy na pierwszym miejscu postawić należy „Sobieskiego“. Naczelne to dzieło autorki „Polski w Pieśni“, odczute głęboko, pomyślane na epopeę, dźwięczne, królewsko bogate, mieniące się błyskawicą szabel, szmelcem pancerzy, barwnością rycerskich kit, pełne rżenia bojowych koni, szumu husarskich skrzydeł i tureckich buńczuków, malownicze, ogromne, godne wielkiego króla i wielkiej chwili dziejowej.



Jadwiga Łuszczewska (Deotyma).

„Sobieski“, aczkolwiek nie wykończony, niestety, to najtrwalszy pomnik Deotymy, to najcenniejszy klejnot w jej poetyckiej koronie; obok niego postawiłbym dwie, za mało znane powieści zgasłej pieśniarki: „Branki w jassyrze“ i „Panienkę z okienka“.

„Branki w jassyrze“ zdumiewają poprostu niesłychanym ogarnięciem materiału historycznego i mistrzowskim odczuciem epoki. Mnóstwo obrazów pierwszorzędnej piękności składa się na ten utwór, którym szczyć się mogła najbogatsza literatura świata. Pod względem kolorytu, plastyki szczegółów, charakterystyki figur równa się ona chyba tylko znakomitej powieści Zyg. Kaczkowskiego: „Olbrachtowi rycerze“.

Ale to są rzeczy, których u nas szeroki ogół nie czyta. Za długie, nazbyt historyczne, nudzą i nużą dzisiejszego amatora lektury. Miłośnik i znawca zachwycać się będzie nimi, ale o tych nie można powiedzieć: a imię ich—legion.

Dla „legionu“ natomiast wystarczy krótkie,

a prześliczne w swej stylowej prostocie opowiadanie z dziejów starego Gdańska pod tytułem: „Panienka z okienka“. Milusi to obrazek, flamandzkim malowany pędzlem, iskrzy się od drobiazgów, oddanych tak misternie, jak wykuta w żelazie krata ręką znamienitego mistrza, nęcąca oczy girlandami kwiatów i liści, jak emaliowany złoty puchar bezcenny, jak owe statuetki z koralu, kości słoniowej, perłowej macy, rzezane subtelną dłonią artysty, tracącego wzrok nad umiłowaną robotą.

Patrycyat gdański, butni oficerowie polskiej floty, trzaskająca w szable karmazynowa szlachta nasza, wnętrza starożytnych mieszczkańskich kamienic, ulice w mroku nocnym, oświetlone księżycem, miłość płomienna, wzdychania żałosliwe wiążą się i plotą w złotolitą treść tego starodawnego roman-siku, okraszonego łagodnym humorem i tęskliwym marzeniem o tem, co było niegdyś nasze.

Nie wiem, co o twórczości Deotymy powie przysięgły krytyk i zawodowy poszukiwacz dziur na całym, ale wydaje mi się, że wymienione jej utwory ostoją się wobec przeważnej siły nowych prądów i mód i że złotemi zgłoski zapisze je pamiętkowa księga piśmiennictwa polskiego.

Cała działalność Deotymy była zawsze nawskroś patryotyczna, nawskroś narodowa. Polka całą duszą, wołała żyć w przeszłości kraju, aniżeli w szarych a gorzkich dniach dzisiejszych. Ona okiem ducha swego widziała Polskę Jagiellonów, Polskę Zygmunta, Batorych i Sobieskich, a jedną z ostatnich i najpiękniejszych jej prac była pierwsza pieśń poematu p. t. „Kościuszkę“.

Wierna i gorliwa wyznawczyni wiary ojców, odeszła z tej ziemi do swojego Boga, ufa w Jego sprawiedliwość i moc, a narodowi i ziemi rodzinnej, którą ukochała gorącym sercem poetki, zostawia daninę pieśni.

Za tę dumę narodową, za miłość gorącą a szczerą, za „Polskę w pieśni“, „Sobieskiego“ i „Branki w Jassyrze“ zachowa wdzięczny naród pamięć Deotymy na wieki.

CZWARTKI U DEOTYMY

WSPOMNIENIE Z PRZED PIĘTNASTU LAT.

Z zaciekawieniem, a zarazem z pewną jakby nieśmiałością, wybierałem się na pierwszy mój czwartek do Deotymy. Oczywiście, znałem doskonale poetkę z jej dzieł, ale dotychczas nie widziałem jej nigdy. Rzecz to naturalna ze względu, iż znakomita improwizatorka od lat kilkadziesiąt nie opuszczała swego mieszkania.

O tych wieczorach literackich, mających swą świetną tradycję w Warszawie i w Polsce całej, naczytałem się i nasłuchałem niemało. Wiedziałem też, że przez salon Deotymy przesunęło się wszystko, co jaśniało promieniami sławy, laurem zasługi obywatelskiej, wzniosłością duszy. Znany mi był wykwiint estetyczny poetki, która zgrupować zawsze umiała przedstawicieli mnogich sfer społeczeństwa w ten sposób, iż zespół tworzył ściśle zestroszoną całość, jakby miniaturą arystokratyczną Rzeczpospolitą, której dystygowaną, a natchnioną prezydentką była—Deotyma.

Przyznaję, iż miałem pewne uprzedzenie do obowiązkowego na jej zebraniach balowego stroju; cygan był ze mnie potrosze, i jakoś ów frak z białym krawatem niezbyt mi licowały z prawdziwą poezją i jej wiernymi wyznawcami.

Krażyły też po Warszawie ploteczki o rzekomym tronie, z którego jakoby improwizowała miała wieszczka, o jej otoczeniu, czyniącem z poetki wyrocznię delficką, o wyniosłej dumie Deotymy i o świętym obowiązku zachwycania się w czambuł wszystkim, co się z jej ust usłyszy pod karą niełaski i banicy.

I oto, wprowadzony przez długoletniego przyjaciela Jadwigi Łuszczewskiej, który, rzekłszy prawdę, traktował istotnie swój obowiązek, jakby wielki mistrz ceremonii, znalazłem się w pracowni przy ulicy Królewskiej, nieco trwożny, bardzo uważny i spragniony ujżenia wielkiej naprawdę pieśniarki.

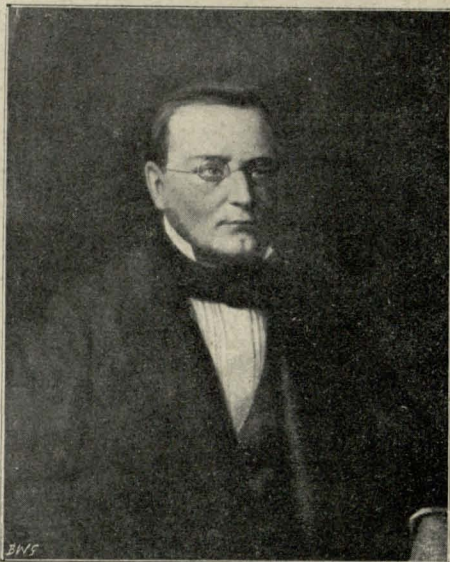
Powiem odrazu: wrażenie było zupełnie inne od spodziewanego, a nad wyraz dodatnie.

W niewielkim saloniku, przy stole, zarzuconym księgami, z rękopisem „Sobieskiego“ w rękę, siedziała w fotelu uśmiechnięta, miła staruszka, z wesołymi, mądrymi oczyma, uczesana, jak babcię nasze, uprzejma, dobrotna.

Towarzystwo dnia tego było nieliczne, ale dziwnie dobrane i ujmujące. Siadłem w kątku i wsłuchiwać się jałem w bogate, przepiękne, rzeźbione po mistrzowsku strofy wspaniałego rapsondu.

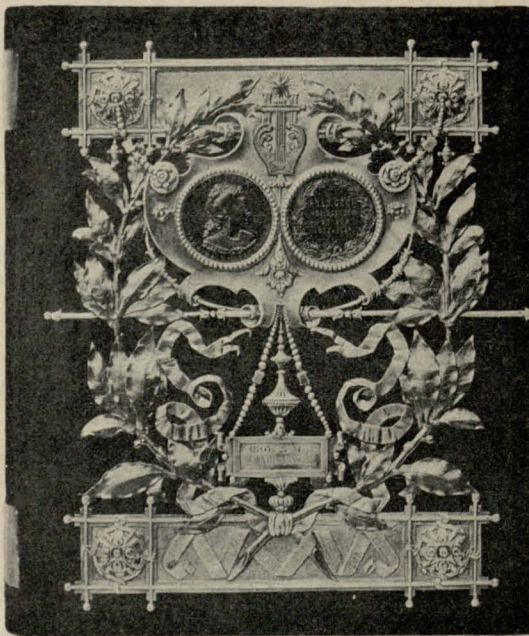
Lecz nagle myśli moje odmienną bieżą poczęły drogą; pieśń kołysała mnie, jak melodia, ale słów już nie słyszał, bo przed oczyma stanęły mi ezasy bliższe, niż odsiecz wiedeńska, i sama autorka „Sobieskiego“ wydała mi się legendą, poematem, pamiątką.

Wygnaną z 62 roku, towarzyszącą ojcu na północ daleką, z sercem pełnym rycerskich postaci „Polski w pieśni“, wnuczka po matce generała Żółtowskiego, napoleonisty, uczestnika herosowych walk, wnuczka po ojcu sekretarza Sejmu Wielkie-



Wacław i Nina z Żółtowskich Łuszczewscy, rodzice Deotymy.

go i ministra z czasów Księstwa, romantyczka, improwizatorka, wieszczka, Adamowi i Zygmun-towi znana, idealistka w najpiękniejszym znaczeniu wyrazu, wyrosła mi w oczach, jako żywy obraz minionego stulecia, jako uosobienie tego



Album jubileuszowy Deotymy z r. 1897.

wszystkiego, cośmy przemarzyli, przewalczyli, przetęsknili.

Dźwięczała pieśń o wielkim bohaterskim królu, a jam dumał o tej dziwnej wśród świata krainie, gdzie tacy rycerze skrzydlaci na odsiecz obcym śpieszyli i gdzie o nich takimi śpiżowemi słowy nuca natchnione niewiasty.

A gdym wieczora tego zegnał poetkę, nie raziły mnie już fraki i rękawiczki białe, bom poczuł, że prawdziwa poezja ma coś królewskiego w sobie i że wolno jej mieć swoje monarsze fantazy.

Na czwartkach Deotymy bywałem nie stale, lecz dość często z kółkiem przyjaciół poetów. Czytywała ona poemat swój rycerski, czytaliśmy my, co kto napisał ostatnimi czasy. Ze znanstwem niepospolicie kulturalnej duszy, z odczuciem znakomitej poetki, z wytwornością prawdziwie wielkiej damy umiała ona każdemu z nas powiedzieć

prawdę, która tem samem była pochlebna, że wychodziła z ust takich.

Podziwiać należało niesłychaną erudycję Deotymy, jej gorące zajmowanie się wszystkim, co dotyczyło kraju w przeszłości i teraźniejszości, jej znajomość spraw naszych i trafne wnikięcie w sam rdzeń rzeczy.

Wiązało mnie też z poetką i zniewalało dla niej niezłomne uczucie dziecięcego wprost przywiązania do rodzinnego miasta, do tej Warszawy, którą kochała całą siłą młodego do śmierci serca.

Byłem uczestnikiem jej jubileuszu; wypowiedziałem wtedy — wśród innych — wiersz swój, Deotymie poświęcony; w kilka dni później, z cechującą ją

wdzięcznością, nadesłała mi wiersz, zatytułowany: „Or-Otowi“, który do najmilszych pamiątek zaliczam.

Pamiętam też, że, kiedym napisał i wydrukował utwór p. t. „Jak cicho płyną umarli“, poetka w przepięknym liście nakreśliła mi swój pogląd na życie zagrobowe, głęboki, mądry, przemawiający do przekonania, a poetycko tak śliczny, jak najcudniejsza pieśń!

Dziś, gdy na trumnę Deotymy spadły już bryły świętej ziemi ojczystej, gdy grób jej zasypano kwiatami, w sercu swem do kątku pamiątek kładę kwiat nie więdnącego żalu po tej świetlanej postaci poetki-obywatelki i po jej zapadłych już w przeszłość czwartkach, gdzie brzmiały „długie, nocne rodaków rozmowy“...

ARTUR OPPMAN.



Wystawienie zwłok Deotymy w kościele Wszystkich Św.

Rys. z natury Z. Badowski.



CZERWONY KAPTUREK (FRYZ Z WYSTAWY „DZIECKO“ W SALONIE T. Z. S. P.)

T. HERMANN

DZIECKO I JEGO ŚWIAT.

Dziwne to stworzenie: dziecko! paple, jak sroka, powtarza, jak papuga, ale niekiedy powie ci coś takiego, zapyta o coś z takim wyrazem małej twarzyczki, że, nie wiedząc, co mu odpowiedzieć, zastanowisz się i poczujesz, że dziecko to drobny człowieczek, którego ustami odzywa się nieodgadnięta, nieśmiertelna dusza.

Ko badał dzieci, kto się im przyglądał z uwagą i z miłością, ten wie doskonale, iż tak samo trudno poznać serce i duszę dziecka, jak dorosłego człowieka. Spójrzcie w oczy dziecięce, a obaczycie w nich cały świat tajemniczy, nieznan: jakby echa poprzedniego bytu mającą w tych źrenicach jasnych, wraz ze zdziwieniem, które wywołuje otaczający świat. Dusza dziecka odczuwa różnice, ale usta wypowiedzieć nie umieją tego, co się tam w główce roi. Najweselejsze dziecko ma w sobie zawsze dziwną melancholię i smutek, które są jakby tęsknotą po utraconym raju.

Z tem wątem, subtelnem, rzekłbym, mistycznym stworzeniem trzeba się umieć obchodzić umiejętnie tak, jak ogrodnik hoduje ciekawy a delikatny kwiat. Nic łatwiejszego, jak urazić duszę dziecka, jak ją odepchnąć od siebie, jak zatruć i skazić. Bo wy nie wiecie, jakie tragedye dzieją się nieraz w duszy dziecięcej i ile niewypowiedzianego żalu mieścić się może w drobnutkiem sercu. Dziecko, które płacze z powodu stłuczonej lalki,

cierpi tak samo mocno, jak człowiek dojrzały po stracie ukochanej osoby.

My, ludzie dorośli, naogół tak mało, tak przerażająco mało zajmujemy się własnymi nawet dziećmi. Przywykliśmy traktować je, jak cacka, jak rozrywkę miłą i śmieszna. Póki dziecko zabawia nas swym szczebiotem, śmiejemy się z jego komicznie przekręcanych słów, gdy płacze i krzyczy, każemy zabierać je z pokoju. I staje się rzecz nie do pojęcia: dziecko rośnie, rozwija się, tęskni i cierpi, a rodzice nie wiedzą nic o tem, bo dusza dziecka obchodzi ich mniej, niż — proszę mi wybaczyć tę prawdę — niż brzusek.

Przeto wszystko, co zmierza do poznania tych zagadkowych istotek, wszystko, co ich dotyczy, co dąży do uczynienia im łatwiejszem zorientowanie się w życiu i rozwinięcie ich prawie zawsze szlachetnych skłonności, jest rzeczą pierwszorzędną wagi, ważniejszą niewątpliwie od politycznych rebusów i szarad, a nawet od premier teatralnych i występów włoskich gwiazd.

Świat dziecka to odrębny, oryginalny, poetyczniejszy od naszego świat. Rzeczywistość wiąże się w nim z fantastyczną krainą baśni. Zwierzęta, drzewa i kwiaty mają swą duszę własną i swą wymowę, rozumiały dla dziecięcych uszu. W świecie tym króluje niepodzielnie szczere, bezpośrednie, czyste, jak kryształ, uczucie.

Wystawa dziecka stara się ów świat odzwierciedlić. Ogarnia ona materiał ogromny, nad wyraz ciekawy i różnorodny, dający szerokie pole do rozmyślań każdemu, kogo te sprawy obchodzą.

Od modeli zabawek, przeważnie zwierząt, według rysunków najznakomitszych artystów, od przepięknych ilustracji do bajek i podań, traktowanych z niesłychanym poczuciem estetycznym, od komicznych groteskowych scen z życia dziecka i jego najwykleszych przyjaźni: piesków i kotków, do pełnych sentymentu obrazów z dziecięcego bytu, do prześlicznych rodzajowych utworów, których bohaterem jest dziecko, znajdziemy na tej wystawie cały szereg rzeczy interesujących, pomysłanych głęboko, oddanych trafnie i ze zrozumieniem psychologii miniaturowych kobietek i mężczyzn.

Idźcie tedy, przyglądajcie się i uczcie; i pamiętajcie o tem, że dzieci wasze to wy sami właściwie i że wszystko to, czegoście uczynić w życiu nie umieli, oni uczynić powinni, aby iść coraz wyżej, do szczęścia ludzkości.

Ale, żeby dzieci wasze dopełnić mogły tej pracy, żeby nie utknęły na drodze ciernistej, jak wy, trzeba je kochać rozumnie, trzeba je przeznaczyć nawskroś i trzeba im nie spaczać duszyczek, ani obcinać anielskich skrzydeł, na które i tak rzuci się kiedyś z zajądłością namiętną — życie!



UCZTA (FRYZ Z WYSTAWY „DZIECKO“ W SALONIE T. Z. S. P.)

E. REHM-VICTOR



Pielgrzymka litewska w Rzymie. Do szeregu pielgrzymek, jakie przybywają do Rzymu z powodu jubileuszu pięćdziesięciolecia kapłaństwa Piusa X, należy pielgrzymka litewska z diecezji sejneńskiej i kowieńskiej, która pod wodzą ks. kanonika Narjewskiego, oraz kanoników Augustajtysa i Stanjulina bawiła w wiecznym mieście w początkach bieżącego miesiąca. Około 150 osób, w tem kilkudziesięciu księży, reszta przeważnie lud, złożyło papieżowi na posłuchaniu życzenia jubileuszowe. Ks. kanonik Narjewski w przemowie do Piusa X zapewnił o gorącym przywiązaniu do stolicy Apostolskiej. Papież, jak zawsze, pełen prostoty i poczucia swego pasterskiego powołania, w odpowiedzi na adres zapewnił pielgrzymów o miłości ojcowskiej, jaką wszystkich ogarnia, zalecił przytem duchowieństwu, aby do religii polityki nie mieszało, ale aby szerzyło miłość i zgodę. Ostatnie te słowa dotyczyły nie tylko duchowieństwa, ale i ogółu. Przemówienie papieża powtórzone zostało zgromadzonym w języku litewskim przez ks. kanonika Narjewskiego. Na pamiątkę pobytu w Rzymie pielgrzymi fotografowali się w grupie.

Z życia Hercegowiny i Bośni.

Minister finansów oświadczył deputacy z Hercegowiny i Bośni, że już w ciągu jesieni r. b. zaprowadzony będzie w tych prowincjach samorząd okręgowy, co stanowić ma pierwszy krok do rządów konstytucyjnych—tak brzmiała ostatnia depeza z Wiednia.

A więc jeszcze jeden szmat ziemi słowiańskiej



Serajewo.

wyswobodzi się z pod jarzma zakusów niemieckich, które preraźliwie wzmagają się na Bałkanie. W Bośni i Hercegowinie szczególnie dopomagała temu austriacka deputacja tych krajów.

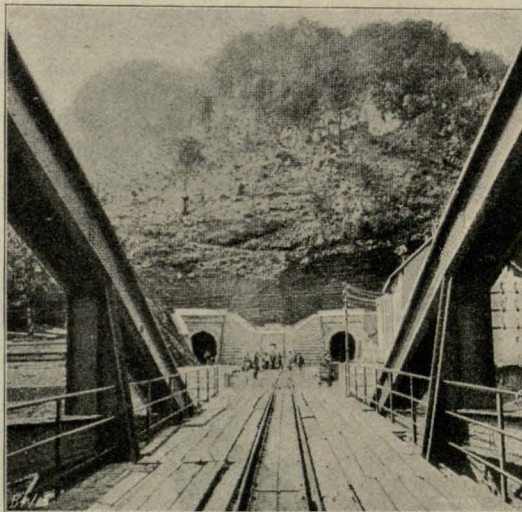
Austria wciąż jeszcze służy interesom germanizacji, nie mogąc się pozbyć tej bardzo dziś niewygodnej kuli u nogi. Odb.ło się to na Bośni i Hercegowinie, gdzie przed okupacją nie słychać było prawie słowa po niemiecku, a dziś język niemiecki stał się niemal panującym. Kto nie posiada go w zupełności, nie może dostać żadnego urzędu, a nawet ostatni mieszczanin hercegowiński wchodzi bardzo w modę, jako język „salonowy”. W samym Serajewie zaczęło niedawno wychodzić



Mieszczanin hercegowiński.

trzenie już z rzędu pismo niemieckie, *Serajewer Tageblatt*, redagowane w duchu wybitnie germańskim.

Nader interesującą jest przeszłość dziejów Bośni i Hercegowiny, albowiem widzimy w niej ciągłe walki świata cywilizowanego z barbarzyństwem od zamierzchłych czasów aż po dni dzisiejsze. Cztery główne epoki dadzą się wyodrębnić w jej historii, a każda z nich pozostawiła niestarte piętno na jej ludności. Okres trwania pierwszej wypełniają czasy przedhistoryczne i panowanie rzymskie aż do najazdu Gotów i Awarów, następnie podczas epoki drugiej przybywają i osiedlają się Słowianie, którzy po długiej, ciężkiej walce zakładają królestwo bośniackie. Moment ten rozpoczyna trzecią epokę tak zwanego panowania królów bośniackich, która kończy się upadkiem państwa i zajęciem go przez



Most przez Drinę w Bośni.

Turków w r. 1528. Od tej chwili zaczyna się epoka czwarta, gdy Bośnia i Hercegowina wchodzi, jako wilajety, w skład cesarstwa otomańskiego.

Pomimo prześladowań i ciągle wzmagającego się napływu Turków, Włochów i austriackich Niemców, kraj nie przestaje być słowiańskim, i prawie wszyscy mieszkańcy (1,500,000 w Bośni i 300,000 w Hercegowinie) ciągle zaliczają się do narodu serbskiego, którego językiem się posługują, i w znacznej większości wyznają religię ortodoksyjną (900,000 chrześcijan greckich, 350,000 mahometan słowiańskich, 250,000 chrześcijan

rzymskich, 70,000 Żydów, przybyłych z Hiszpanii w wieku XVI, i Cygani). Wobec zawziętego gnębienia ludności ze strony władz tureckich dochodzi wreszcie w r. 1875 do krwawej rewolucji, która nawet była jednym z powodów wojny rusyjsko-tureckiej.

Berliński jednak kongres z r. 1878, niechętny wróceniu się Rosji do spraw słowiańskich, przeszkodził połączeniu się Bośni i Hercegowiny z Serbią, pozwalając Austrii na okupację tych krajów. Od tej pory polityczne partie bośniackie i hercego wińskie porzuciły walkę zbrojną, starając się o podniesienie kultury i oświaty w kraju przez budowanie kolei żelaznych, zakładanie szkół i rozwijanie przemysłu i handlu, czekając na odpowiedni moment, aby dopomnieć się o swoje prawa i odeprzeć nienawistne coraz bardziej zakusy germańskie ostatniej doby.



Mieszczanki z Banialuki.

I oto dziś ta sama Turcja, która przez szereg wieków gnębiła Bośnię i Hercegowinę, odgrywa dziwnym zrządzeniem losów rolę jej ducha opiekuńczego i zbawcy. Po ogłoszeniu konstytucji tureckiej ludność Bośni i Hercegowiny w osobach najprzedniejszych swoich



Cmentarz muzułmański w Serajewie.

przedstawicieli z Serajewa i Mostaru kategorycznie zażądała w Wiedniu zmiany dotychczasowego ustroju, a szereg manifestacji i ogólne napięcie umysłów wśród ludności wyraźnie wskazały rządowi austriackiemu, iż żądanie to wypowiada niezłomna wola całego narodu Bośni i Hercegowiny. Trzeba było, choć niechętnie, ustąpić...

ROZPROSZYŁEM SWE SERCE.

Pozproszylem swe serce po drogach żywota,
Rozproszylem swe serce na drobne atomy —
Wiruje ono z wichrem przez światów ogromy
I purpurą o słońca zachodach migota...

Nikt o nic nie zapyta — chyba zorza złota
I w szary zmierzch jesienny szum borów znajomy,
Może o nim zahuczą rozszałale gromy,
Lub powie pól zamglonych bezbrzeżna tęsknota...

Lecz przyjdzie czas, gdy Stwórca wyciągnie prawicę
I słowem: „Staj się!” z uczuć wszechludzkich chaosu
Pocznie stwarzać dla Siebie przybytek bogaty —

Wtedy zbierze mych uczuć atomy, mgławice,
Wirujące dokoła wszechistnień kolosu,
I wydzwignie z nich nowe miłości wszechświaty...

WIKTOR DZIERŻANOWSKI.



Płyta grobowa hetmana Żółkiewskiego i rodziny jego.

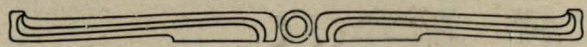
Uroczystość żółkiewska.

W ubiegły wtorek, w historycznej tyle Żółkwi, gdzie każdy kamień mówi wrzuszającą mową, przeniesiono do podziemi kościelnych śmiertelne szczątki hetmana Stanisława Żółkiewskiego.

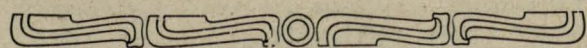
Zwiezione w r. 1620 z krwawych pól Cecory, a potem „wśród nieszczęść Ojczyzny poniewierane“, złożyła teraz późna potomność w sposób godny w miejsce najgodniejsze. W podaniu szczegółów tego osobliwego obchodu wyprzedzić nas musiały, rzecz prosta, dzienniki; pismo ilustrowane, posiłkujące się głównie materiałem obrazowym, przychodzi, niestety! z pewnym opóźnieniem.

Dzisiaj więc poprzestajemy tylko na przedstawieniu widoków: fary żółkiewskiej, jej wnętrza oraz płyty grobowej. Płyta ta, wykonana według rysunku Antoniego Popiela w zakładzie bronzowniczym Ferdynanda Sknurzyła, zamyka wejście do dwu sarkofagów marmurowych. Z tych jeden obejmuje teraz prochy bohatera, drugi zwłoki jego najbliższej rodziny: Reginy z Herburtów Żółkiewskiej, Zofii z Żółkiewskich Daniłowiczowej, Stanisława Daniłowicza, Krzysztofa Żółkiewskiego i Jakóba Sobieskiego.

Uroczystością, która sprowadziła do Żółkwi wszystko, co tylko Galicya wschodnia ma najwybitniejszego, zajmował się energiczny komitet miejscowy; podniesienie całej sprawy zawdzięczać należy dobremu duchowi Żółkwi, pełnemu pietyzmu stróżowi jej pamiątek, radcy dworu, Julianowi Szumlańskiemu. Nadmienmy jeszcze, iż *Tygodnik* nasz ostatnimi czasy w N-rze 7 z roku bieżącego umieścił wspomnienie o Żółkwi wraz z szeregiem rycin.



Szanownych prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego“ prosimy o wniesienie opłaty na kwartał czwarty roku bieżącego.



Z cyklu: „Wieś”.

I (zamiast wstępu).

W mieście możemy się bronić i umierać, na wsi zwyciężać i żyć.
M. Mochnacki.

Redakcja *Tygodnika Ilustrowanego* zawezwała mnie do współpracownictwa, powierzając dział: wsi polskiej.

Trudno o milejsze poselstwo pióra, o temat silnie ukochany, więcej serdeczny, o słodsze nazwanie...

Wieś!

Nie wiem, czy się znajdzie wśród nas serce, któreby na sam dźwięk tego wyrazu nie drgnęło zjawą, czy wspomnieniem, nie rozplynęło się myślą po polach, „malowanych zbożem rozmaitem“, do czarnych skib nie przyłgnęło.

Toć my wszyscy z niej!

I wszystko nasze.

Wieś!

Wieś—kołyska i macierzyństwo narodu! wieś—Piastowa socha! wieś—Mieczysławów pacierz poranny!

Wieś to Płowce, Dąbrowny, Cecory, Somosierry nasze! to krzyż przydrożny i dziewczęce śpiewanie, brzożki cmentarne i zagon siewny...

Rycerstwo czynu i słowa...



KOPACZKA DO BURAKÓW.

I chadzał... długo .. daleko chadzał! a zawsze do wsi swojej, do Piastowej strzechy powracając, jak do Matki!

I trwa...

Bo z niej pokrząpek i siła, w niej pospólne krewniactwo, w doli czy niedoli! Z niej my i nasze!

Więc i ja, jako syn do Matki, pójdę do ciebie, Wsi Polska, na pokrząpek po stare wspomnienia i nowe zadumy...



KOSIARKA DO GROCHU W RUCHU.

Nasze „u źródła“, nasz „przedświt“ i przyszłe zorze!

Z niej: Żółkiewscy, Chodkiewiczze, Czarnieccy, z niej miliony oraczy pod ruń zieloną, miliony siewców na kłosa złocisty.

Z niej Adamowe prorocтва, z niej trójpowieść Sienkiewiczowa, pienia Chopina, z niej Chełmońskiego płótna, Jacek Malczewski!

Wieś to Reymont, to Zychowe powiadania, to Żeromski, to Balcerowa na obczyźnie tęsknica, to wiatr halny, co na strunach Tetmajerowej lutni podzwania, to ów „Cham“, w zamyśleniu nad brzegiem Niemna dumający, to kopce podwawelskie i kurhanek Maryli!

Wieś to Lud—pług narodu! To brzeszczot jego myśli i upragnień! Technienie i natchnienie!

Chleb i Moc! Dusza! „Tworzywo“ nasze!

Wszystko z niej i przez nią, bo ona najbliższa najświętszego kochania—Ziemli!

Więc bije z niej i ta Siła, w wielkiem Kochaniu poczęta, i wszystko Dobro, i całe Piękno, i Ból szlachetny, i Wesele prawdziwe!

Wszystko z niej, Rodzicy! wiek Lechów i dziatwa Wrzesińska!

Przeżyte i marzone...

Bez niej nie pojąć Polski!

Bez niej Polsce... nie być!

Wyszedł naród z pod słomnej

Pójdę! W szare godziny jesieni i w zamieć zimową, po wiosnianych murawach i w żniwny przyparek pójdę!

Pójdę do Ciebie, chato, z miechowskich wzgórków bielejąca, do Ciebie, strzecho, w poleskie bory zaszyta, w zasiek mazowiecki zajrzę i lubelskie przysiołki i na świronki w kowieńskiej dolinie popatrzę i w kujawskie zastodola i hen po rozłogi! pójdę.

Pójdę -- gdzie myśl sięgnie!

Pójdę nocką miesięczną i o rozdzienku i w chmury i w słonko jarzące pójdę...

I będę mówił z tobą i o tobie! o kochaniu, o czarnej roli, o chlebie powszednim, o ligawkowym graniu, o śnionem niewyśnionem, o tęczach i słotach, o tem, co jest, i o tem, bez czego nijak...

Będę mówił o Tobie, ty Moja, ty Nasza!

Matko!

KAZIMIERZ ŁASKOWSKI.



DROGA PRZEZ WIEŚ.

Z galerii najmłodszych malarzy.

SYLWETKA A. NEUMANA.

Młody, prosty, bez cienia blichtru i pozy, wywiera bardzo przyjemne, korzystne wrażenie. Jeden z tych niewielu, którzy zwycięskim hymnem kończą rozpoczęty bój przez potęgę ukochań i poświęceń.

— Urodziłem się w Sierpcu w 1873 roku—tak zaczął mi swoje opowiadanie—i do 10-ciu lat spędzałem cały czas w lasach, gdyż ojciec mój był pisarzem leśnym. Nie wiedząc i nie zdając sobie jeszcze sprawy, że malarstwo jest sztuką, zawsze czułem pociąg do ma-



A. Neuman.

lowania, wykonywując cały szereg rozmaitych prób. Dopiero, gdy przyjechałem do Warszawy, horyzont mój rozszerzył się, i powstały gorące chęci i pragnienia, lecz... środki materyalne stanęły mi na przeszkodzie. Zabrałem się tedy do powiększania portretów z foto-

grafii i za oszczędzone tą drogą pieniądze pojechałem na studia do akademii sztuk pięknych w Krakowie.

— Kraków więc nadał panu kierunek i rozwinął siły twórcze?

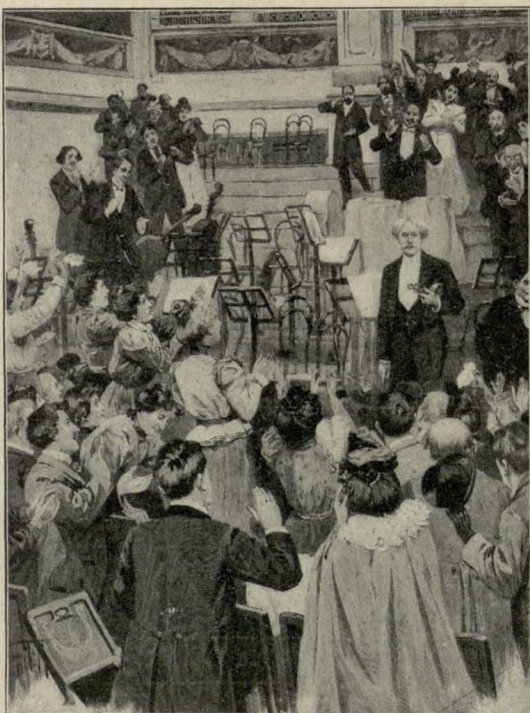
— Tak. Przez półtora roku pracowałem w akademii, korzystając ze wskazówek prof. Malczewskiego, Wyczółkowskiego i ś. p. Stanisławskiego. Szczególnie ten ostatni posiadał dziwny dar wpajania w swoich uczniach miłości dla natury i głębokiego ukochania polskiej ziemi.

— Czy tylko w Krakowie odbywał pan studia?

— Nie, gdyż, otrzymawszy dwa srebrne i dwa brązowe medale za swoje prace, ośmieliłem się pojechać do Paryża w roku 1900. Znowu środki materyalne stanęły mi i tym razem na przeszkodzie. Po trzech miesiącach studiów pod kierunkiem Jean'a Paul'a Lorrains'a w akademii Juillena zabrakło mi pieniędzy na opłacenie wpisowego, zacząłem więc samodzielnie kopiować w Luwrze, pogłębiając przez cały rok sztukę nowoczesną przez zwiedzanie muzeów i głównie wszechświatowej wystawy paryskiej. Następnie, wracając do kraju, zwiedziłem muzea w Holandii, Belgii i w Anglii, oraz główne muzea niemieckie. W ten sposób, poznawszy całokształt sztuki europejskiej, postanowiłem zostać... wyłącznie pejzażyście.

— Dlaczego tę dziedzinę tak upodobał pan sobie?

— Młodość, spędzona na łonie natury, i niezarty wpływ pierwszego kierownika mojego, ś. p. Sta-



Pablo Sarasate w sali koncertowej.

niślawskiego, najsilniej odzywają się we mnie. Pewnego razu, pojechawszy wraz z prof. Stanisławskim na studia do Zakopanego, pokochałem bardzo zimowy krajobraz tatrzański i od tej pory zimę stale spędzam w Tatrach, wiosna jednak i lato mniej interesują mnie w górach, więc na studia wiosenne i letnie wyjeżdżam przeważnie pod Tyniec nad Wisłę. Malować mogę tylko w kraju...

— A jakże teraz powodzi się panu materyalnie?

— Obecnie jest mi znośniej, gdyż ostatnie wystawy moje w Berlinie, we Frankfurcie, w Lipsku i w Monachium miały powodzenie i moralne i materyalne.

— A więc „evviva l'arte!”

Żegnając się temi słowy, rozstaliśmy się do przyszłej okazyi.

R. K.

Z ostatnich dni.

W świecie artystycznym żałoba...

W Biarritz zmarł nagle Pablo de Sarasate, znany czarodziej-wirtuoz. Dobrze go pamięta i nasza Warszawa, jak z niewysłowionym wdziękiem igrał na strunach, a dobywane tryle, pasaże i flazolety zdawały się być złotymi pyłkami, wirującymi w słonecznej poświacie. Szczególnie częstym gościem bywał u nas artysta-skrzypek w siódmym i ósmym dziesięcioleciu ubiegłego wieku. Zawsze jednał sobie szczerzy podziw i uznanie, bo też czarował, porywał i olśniewał...

Równocześnie z wieścią o zgonie wielkiego artysty pisma zagraniczne przynoszą nam wiadomość o laurach, jakie zbiera primadonna opery warszawskiej, Zboińska-Ruszkowska, jedna z najbardziej sympatycznych diw teatralnych naszego grodu. Chlubnie bardzo ukończyła niedawno swój sezon w Ameryce, i prasa amerykańska nie szczędzi gorącego uznania i zachwyty dla jej talentu i głosu. W jednym z ostatnich numerów pisma ilustrowanego *La Revista ilustrada del Rio de la Plata* odnajdujemy jej portret w roli Zygliny w „Walkiryach”, w których święciła największy tryumf...

Dwa fakty również mamy do zanotowania ze świata pedagogicznego: zgon ś. p. Augusta Zielińskiego i 25-letni jubileusz jednej z najstarszych pensji w Warszawie.



August Zieliński.

W osobie Augusta Zielińskiego ubyla znana i ceniona siła na polu nauczania. Zmarły był twórcą i kierownikiem wyższych kursów handlowych i prócz wybitnego uzdolnienia w kierunku zawodowym odznaczał się też gorącymi aspiracjami obywatelskimi i społecznymi. Szkoda jednostki dzielnej i zasłużonej, szczególnie w tych czasach, kiedy szkolnictwo polskie takie ciężkie przeżywa momenty.

To też pocieszającym i znamionym jest fakt 25-letniego jubileuszu jednej z prywatnych szkół żeńskich. Wśród zjawisk naszego zbiorowego życia gody takie zdarzają się rzadko. Przełożoną jubilatką jest w tym wypadku Marya z Matuszewskich Sokołowska, osoba, całym sercem oddana swemu zawodowi i kształcącej się młodzieży...

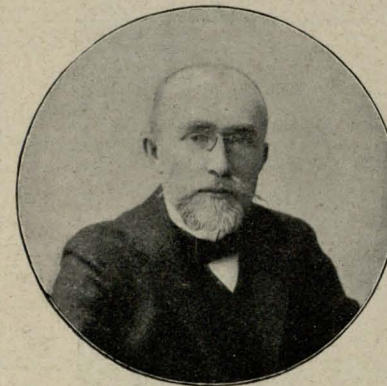
Znamionym faktem również w kronice Warszawy jest otwarcie przy Towarzystwie zachęty sztuk pięknych Muzeum przedhistorycznego Erazma Majewskiego.



Marya z Matuszewskich Sokołowska.

Znamionym faktem również w kronice Warszawy jest otwarcie przy Towarzystwie zachęty sztuk pięknych Muzeum przedhistorycznego Erazma Majewskiego.

A więc przybywa nam jeszcze jedna stała wystawa o bardzo kulturalnym znaczeniu. Od tej pory wspaniale i z wielkim nakładem pracy i kosztów zgromadzone zbiory archeologiczne naszego uczonego stały się własnością ogółu, dostępną dla zwiedzania przez wszystkich...



Erazm Majewski.

Zbliża się już zapowiedziany na październik obchód jubileuszowy na cześć Aleksandra Świętochowskiego. Rozpocznie się w dniu 10 października o 8 wieczorem w sali Techników zebraniem powitalnym dla uczestników zjazdu. Następnie uroczystość, mająca trwać do dnia 13 włącznie, wypełni szereg referatów literackich i społecznych, oraz dwa przedstawienia teatralne. Naogół całość programu obchodu jubileuszowego przedstawia się bardzo obficie i zajmująco.

Wobec cholery.

WYWIAD WŚRÓD LEKARZY.

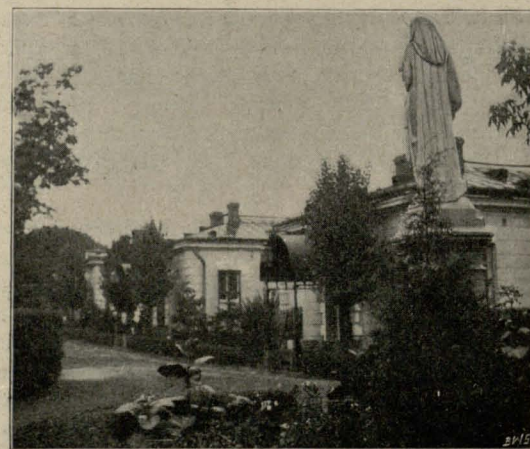
W Warszawie cholera...

Czyż z tego powodu należy krzyczeć w niebogłosy i drzeć ze strachu? Lęk—złe orędzie walki. Zwycięża ten, kto ją prowadzi z rozwagą, na zimno i wytrwale. A w walce z cholera spokoj i trzeźwość ducha—pierwszy warunek.

Niestety, wielu z nas nie może pochwalić się spokojem i rozwagą i przy pojawieniu się epidemii zaczyna wykazywać przeholowaną energię w kierunku samoobrony.

Wiadomo naprzykład, iż podczas trwania cholery dobrze jest mieć w żołądku zapas kwasów. I oto wielu zaczyna je beznamiętnie rozprawdzać. Zjadają cytryny, piją kwas solny, kwaśne wino, polewają octem potrawy mięsne, a wszystko to jednocześnie i bardzo obficie. W ten sposób w żołądku wytwarza się nadmiar kwasów, pojawiają się wcale niepożądane efekty...

Z używaniem przegotowanej wody niektórzy też dochodzą wprost do bohaterstwa. Jakaś pono obywatelka, jak opowiadał mi jeden z lekarzy, nie tylko że sama piła przegotowaną wodę, lecz poiła nią także wszystkich domowników, a nawet krowy, psy, konie, gęsi, kaczki i prosięta. Służbie kazała myć przegotowaną wodą podłogi, a kiedy zdarzył się deszcz, to ni-



Szpital izolacyjny na Woli.

komu nie pozwalała wyjść z domu, aby przypadkiem kropla nieprzegotowanej wody nie znalazła się w jej mieszkaniu.

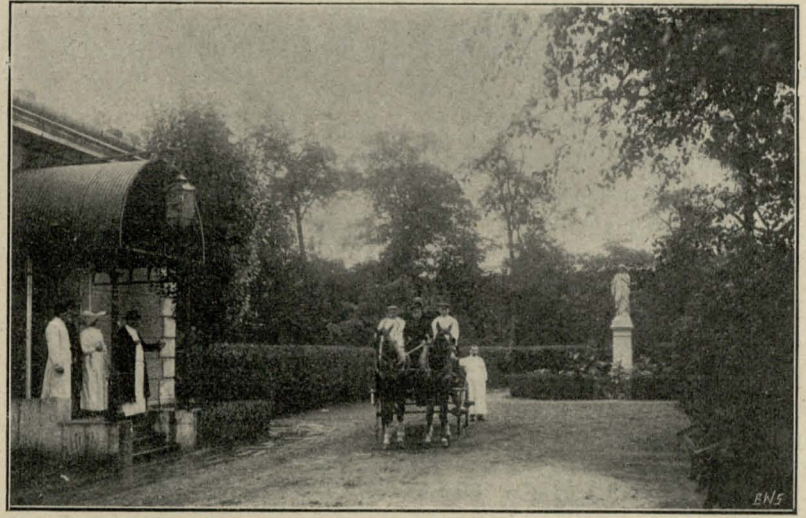
Zdarzają się i przeciwne krańcowości.

Spotykamy jednostki, pełne brawury, które rzucają wprost rękawicę groźnemu wrogowi, a cholera żartów nie lubi i zazwyczaj karze za to.

— Zjem wszystkie orzechy—mówiła młoda i żywa panienka— a cholera nie tknie się mnie wcale. Tchorze tylko są jej ofiarami.



Personel pogotowia cholerycznego na Woli.



Pogotowie cholerycznego szpitala na Woli.

I najadła się orzechów pomimo protestu, a na drugi dzień już ją pochowano na cmentarzu cholerycznym...

Wogóle cholera przy rozsądnym jej traktowaniu nie straszna jest dla ludzi inteligentnych i materialnie zabezpieczonych. Trzeba tylko zachować rozumną ostrożność, nie objadać się i nie pić nadmiernie, we wszystkim i wszędzie zachować czystość i porządek, a głównie nie myśleć o choleryczce i nie bać się jej. Tak mówili mi wszyscy lekarze.

Cholera to wróg biedaków i nędzarzy, głodnych i wyniszczonych, to epidemia brudnych suteryn i poddaszy. Fakt ten nakłada szlachetny i poważny obowiązek na inteligentne i zamożne jednostki, aby szły na pomoc tym wszystkim, którzy przedewszystkiem mogą się stać jej ofiarami.

Władze rozpoczęły już energiczną i dobrze zorganizowaną kampanię walki z cholera, lecz solidarna pomoc całego społeczeństwa również jest potrzebna. Przyspieszy to zwycięstwo, gdyż środki staną się pe-

niejsze i skuteczniejsze. Uzdrawienie sanitarne miasta, dostarczenie pożywienia tym, którym głodno i chłodno, wskrzeszenie herbaciarni i ruchomych kuchni — oto, co powinno nastąpić przedewszystkiem.

Takich rozmiarów, jak w Petersburgu — objaśniali mnie lekarze szpitala cholerycznego na Woli — cholera u nas przyjąć nie powinna, gdyż posiadamy kanalizację, której niema w stolicy państwa rosyjskiego, lecz i u nas okolice podmiejskie Warszawy i Powiśle łatwo mogą się stać jej rozsądnymi przez zaniedbany stan sanitarny.

— A proszę zaznaczyć — dorzucił jeden z lekarzy — iż pijaństwo wśród ubogiej naszej ludności bynajmniej nie zmniejsza się w ciągu ostatnich lat, lecz przeciwnie, szerzy się coraz więcej.

— A czy jesteśmy przygotowani do zwyciężenia wroga?

— Naogół tak; akcję rozwinięto z dużą energią i szybko; w szpitalu mamy 400 łóżek; przygotowali także zapasy szczepionek ochronnych d-rzy: Serkowski, Palmirski i Karwacki.

— A czy stosowano już szczepienia ochronne w Warszawie?

— Już stosował je dr. Serkowski. Zabezpieczają na rok od zarażenia się cholera. Reakcja naogół mało przykra, niewielkie opuchnięcie i wysypka na skórze.

— Proszę zanotować sobie — zwrócił się jeden z lekarzy — że więzienia nasze i przytulki noclegowe stale są rozsądnymi epidemii. Szczególniej te ostatnie w roku zeszłym szerzyły tyfus powrotny, a przed dwoma laty ospę. O ile dotychczasowy porządek i higiena nie ulegnie w nich zmianie, możemy się spodziewać bardzo przykrych następstw.

— A więc...

— A więc miejmy nadzieję, że cholera i u nas stanie się nauczycielką czystości i higieny wszędzie, gdyż bez niej następuje pewna ospałość. W każdym razie bać się jej nie należy, lecz wspólnymi siłami zwalczać ją w zarodku, usuwając wszelkie współdziałające jej rozwojowi zjawiska i czynniki.

NADESŁANE.

**SZCZOTKI DO WŁOSÓW, SUKIEN,
SZCZOTECZKI DO ZĘBÓW I PAZNOKCI,
GRZEBIENIE DO CZESANIA** rogowe, kauczukowe, z kości
słoniowej i szyldkretowe

POLECA

STEFAN POREBSKI

Kraków, Rynek 32, linia C-D

C-SKORYNA i S-ka FABRYKA MASZYN
I KAMIENI MŁYŃSKICH
BUDOWA MŁYNÓW
WARSAWA - PRAGA WSZELKIE ARTYKUŁY MŁYŃSKIE.
OLSZOWA 14. TURBINY, TRANSMISJE i t.p.

Nowe maszyny
DO BIELENIA I DEZYNFEKCYI
„APOLLO“

nadzwyczaj dogodne w użyciu, nieodzowne w każdym gospodarstwie.

PASY SKÓRZANE

oryginalne angielskie w najlepszych gatunkach, poleca

ALFRED GRODZKI

Warszawa, 33, Senatorska.

**LUDWIK SZUFA
KRAWIEC**

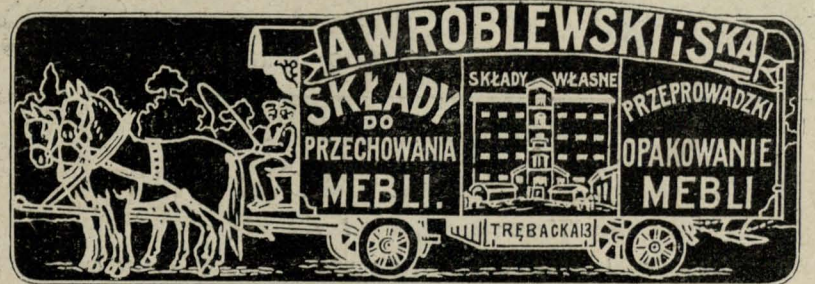
KRAKÓW TELEFON 671

NARZĘDZIA LEKARSKIE,
ARTYKUŁY LECZNICZE I OCHRONNE,
WYROBY NOŻOWNICZE

Bronisław Krug

Warszawa, Bracka 18, telef. 35-47.

Ceny fabryczne. Wysyłka za zaliczeniem.



NAJLEPSZA KAWA
SKONCENTROWANA

EXTRAIT de MOCCA

Eugeniusz Widigier i S-ka

WARSAWA,

Al. Jerozolimska 25, tel. 35-33.

SZKOŁA
SZTUK PIĘKNYCH
DŁA KOBIET

MARYI NIEDZIELSKIEJ
KRAKÓW—UL. KOLEJOWA L. 3.
Początek nauki dnia 1 października.

Profesorowie:

Feliks Jasieński—St. Kamocki—Ja-
cek Malczewski—Włodzimierz Tet-
majer — Wojciech Weiss — Leon

Wyczółkowski

Szczegółowy program na żądanie.

MEBLE

ZAŁĘSKI i S-ka

Warszawa, Erywańska Nr 2,

parter, 1-sze i 2-gie piętro.

Rok założenia 1870.

Telefon 16.39.

FORTEPIANY,
PIANINA, PIANO I E,
ORGANY,
MELODYKONY



GEBETHNER i WOLFF

Warszawa, Krak.-Przed. 17

LEKARZ DENTYSTA

A. ZAWADZKI

ZIELNA 7 róg Złotej, daw. Marszałkow. 108

Telefon 184.47. Przyj. od 10—2 i od 3—5i pół.

S. GLIŃSKI 41 Nowy-Świat 41

Pastę „Bon-ton“, Szuwaks, Smarowidło i Glazurę do obuwia, Pomadki, Proszki i Płyn „Fenomen“ do czyszczenia metali, Atramenty, Tusze, Gumę arabską, Oliwę do maszyn i t. p.

Zadanie, mające za cel wywołanie porostu włosów, pozostało dotychczas nierozwiązane, pomimo poważnej i opartej na zasadach naukowych pracy w tym kierunku. A jednak są pewne pomyślne wyniki w tej mierze. Nie ulega bowiem wątpliwości, że można spowodować

porost włosów

jeśli istnieje jeszcze t. zw. cebulka. Chodzi tylko o środek wzmacniający, czyszczący skórę i usuwający łupież. Te właśnie zalety posiadają esencja i mydło „Tataro-Chmielowe“, wyrabiane w „Centralnem Laboratorium Chemicznem“ (Czekay i Krysiewicz) w Warszawie przy udziale sił Lekarskich. Sprzedaż w składach aptecznych.

Wyłączna sprzedaż oryginalnych sławuckich

BUREK, PELERYN i KURTEK,
BUTÓW filcowych, **KAFTANÓW,**
KOSZULEK, KALESONÓW wełnianych
SERDAKÓW męskich, **UBRAŃ** zamszowych
PLEDY, DERY na konie,

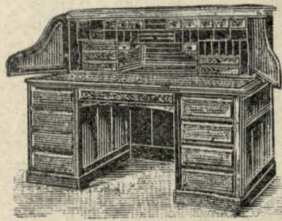
poleca magazyn przyborów podróżnych

J. ROKICKI i S-ka

Warszawa, Nowo-Senatorska Nr 1 (hotel Rzymski).

Ceny fabryczne.

Cenniki gratis.



KOMPLETNE

Urządzenia biurowe
KAROL F. FIŠER

Warszawa, Mazowiecka 10.



ZAKŁAD OGRODNICZY C. ULRICHA

w Warszawie, Ceglana 11.

Poleca na nadchodzący jesienny czas sadzenia wielkie zapasy drzew owocowych w koronach (około 400 tysięcy). Drzewa i krzewy ozdobne, drzewa iglaste, róże i t. p. Katalog drzew wysła się na żądanie.



E. UNIERZYŃSKI

CHMIELNA Nr 3

poleca Skórzaną galanterię i przybory podróżne.



Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja

Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Chłodna Nr 18, Niecała Nr 9, Dzika Nr 7, Leszno Nr 4, Nowy-Świat Nr 49, Sienna Nr 2 a, Praga Brukowa Nr 32, Długa Nr 19.

Filie: Łódź, Zielona Nr 5. Częstochowa, II Aleja Nr 34.

Lekarz dentysta **STEFAN ŻYCKOWSKI** NOWOGRODZKA № 26
Telefonu 167.49.

JÓZEF FRAGET

FABRYKA
**WYROBÓW PLATEROWANYCH
I SREBRNYCH 84-ej PRÓBY**
Warszawa, Elektoralna 753/16.

SKŁADY:
Wierzbowa 8. Nalewki 16.

HOTEL SAVOY

W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT
Elektryczność, Winda, Kąpiele, Restauracja pod własnym zarządzeniem. Centrum miasta.

Denaturowany spirytus.
Spirytus stały w puszkach, spirytusowe lampy, palniki, kuchenki, żelazka i t. p.
B. CIA WIŚNIEWSKY i S-ka
Foksal 18, Telefon 3069.

„ZWIJAM” mój zimowy Zakład leczniczy na Lido, z powodu zaszłej tamże zmiany własności.

Dr Henryk Ebers.

MILUJĄCYM ZDROWIE! poleca:
Okulary i Binokle z najlepszymi szklami, wzrok wzmacniającymi po rb. 1.20, Mikrofony dla głuchych, Oliwa usuwająca szum uszny flakon rb. 1.50, Bandaże elektryczne usuwają rapturę, nie krępują ruchów od rb. 6, Przepaski higieniczne Venus, Diana i poduszeczki dla dam od rb. 1.50. Środki higieniczne dla pań i panów w dobrym gatunku. Cennik specjalny bezpłatnie, wyłącznie w zakładzie Michała Pik, Warszawa, ulica Miodowa Nr 1.



Słynna ze swych własności aromatycznych, właściwych substancjom roślinnym, służącym do jej przygotowania.

DO NABYCIA WSZĘDZIE.



Żądać wszędzie z aniołem.

MAISON „SPLENDID”

MAGAZYN

BIELIZNY PARYSKIEJ

Bluzek wiedeńskich

Warszawa, Czysza 2.
Telefon 190 20.

J. MIECZKOWSKI, Fotografia
Marszałkowska III. Telefon 16.81.

Bracia ŁOPIEŃSCY polecają **BRONZY** Magazyn Krakowskie Przedmieście **№ 15** dom Hrabiego J. Potockiego

Redaktor Dr. JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesł. do redakcji, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa